

Trustringamy

POLSKI



POD UROKIEM MUZYKI

Foto: Eurofoto



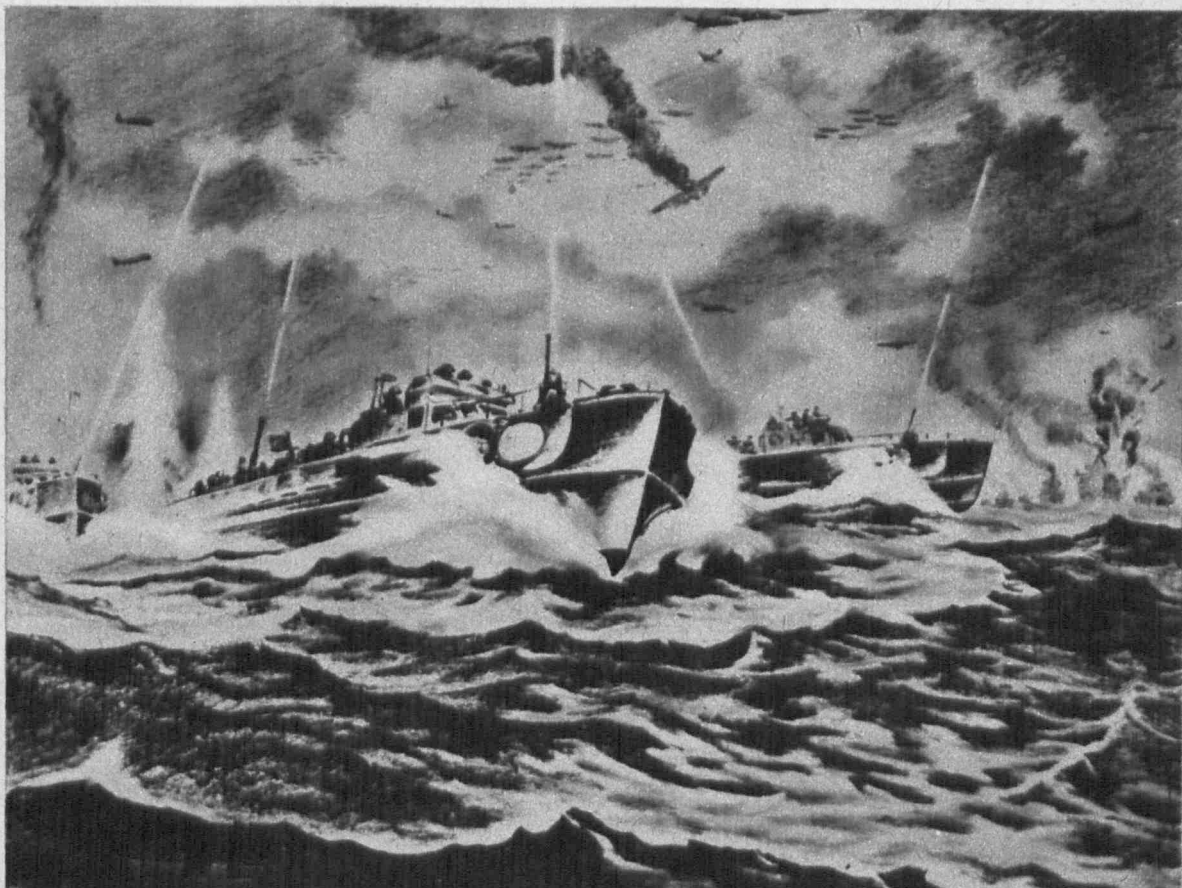
Powyżej:
W BUNKRZE
Komendantniemieckiego bunkru położonego na wybrzeżu Atlantyku obserwuje przez teleskop ruchy nieprzyjaciela i wydaje rozkazy artylerii.

Na lewo:
PO BITWIE
Grenadierzy pancerni oglądają uszkodzony silnie strzałami niemieckiej obrony wóz należący do brytyjskich wojsk inwazyjnych.



TYGODNIK

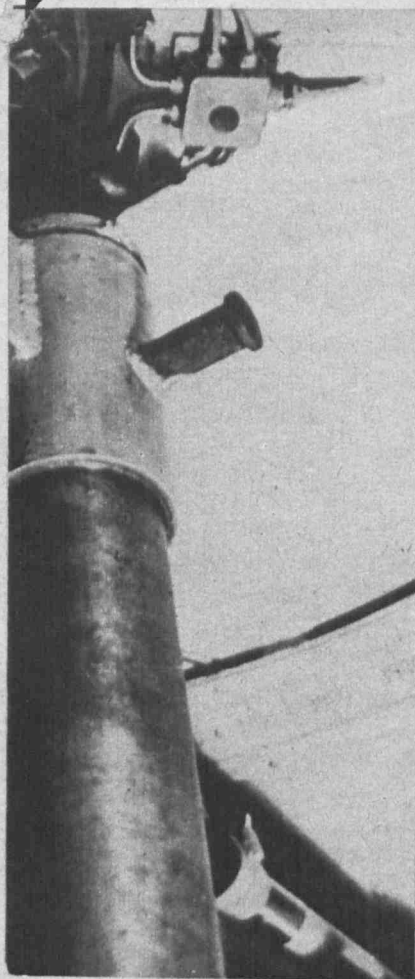
Na prawo:
NA FRONCIE WŁOSKIM
Długa, zacięta bitwa szalała na tym polu. Świadczą o tym zniszczone ciężkie, angielsko-amerykańskie czołgi rozsiane licznie dookoła.



CZINY „OSWOBODZICIELI”
Jedna z ulic w francuskim mieście St. Le po trzechdniowym terrorystycznym nalocie angielsko-amerykańskich lotników. W czasie tego nalotu ludność cywilna poniosła duże straty.

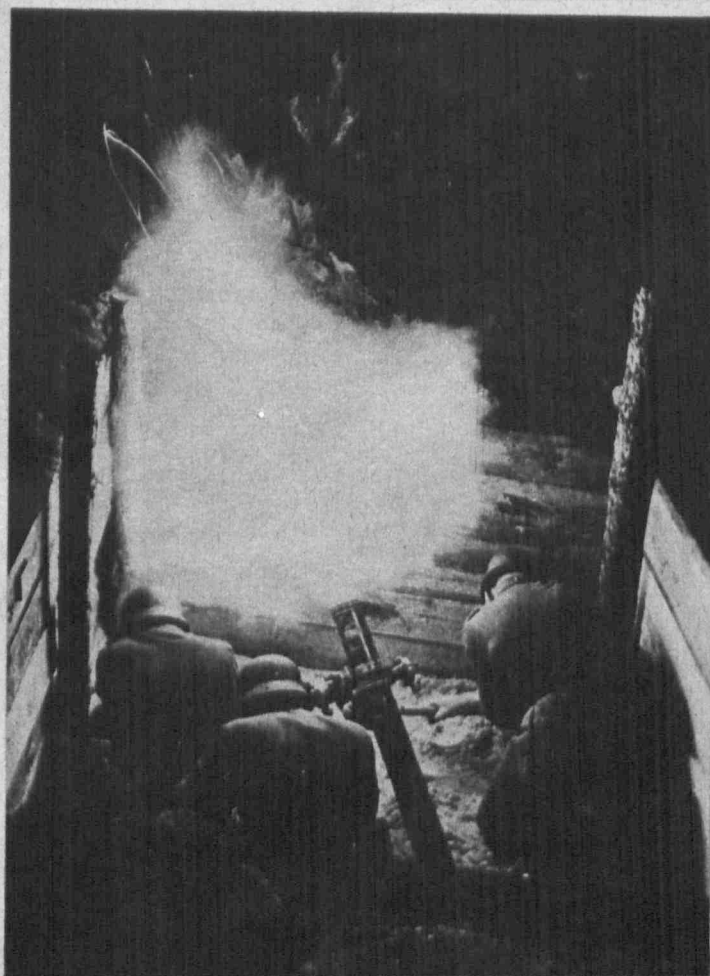
94/2372/1(a)

20.000



Powyżej:
Angielsko-amerykański ciężki czołg „Sherman” zniszczony
w bitwie na wybrzeżu Normandii.

Poniżej:
Zdjęcie z frontu wschodniego. Żołnierze sowieccy wzięci
do niewoli maszerują do obozu jeńców.

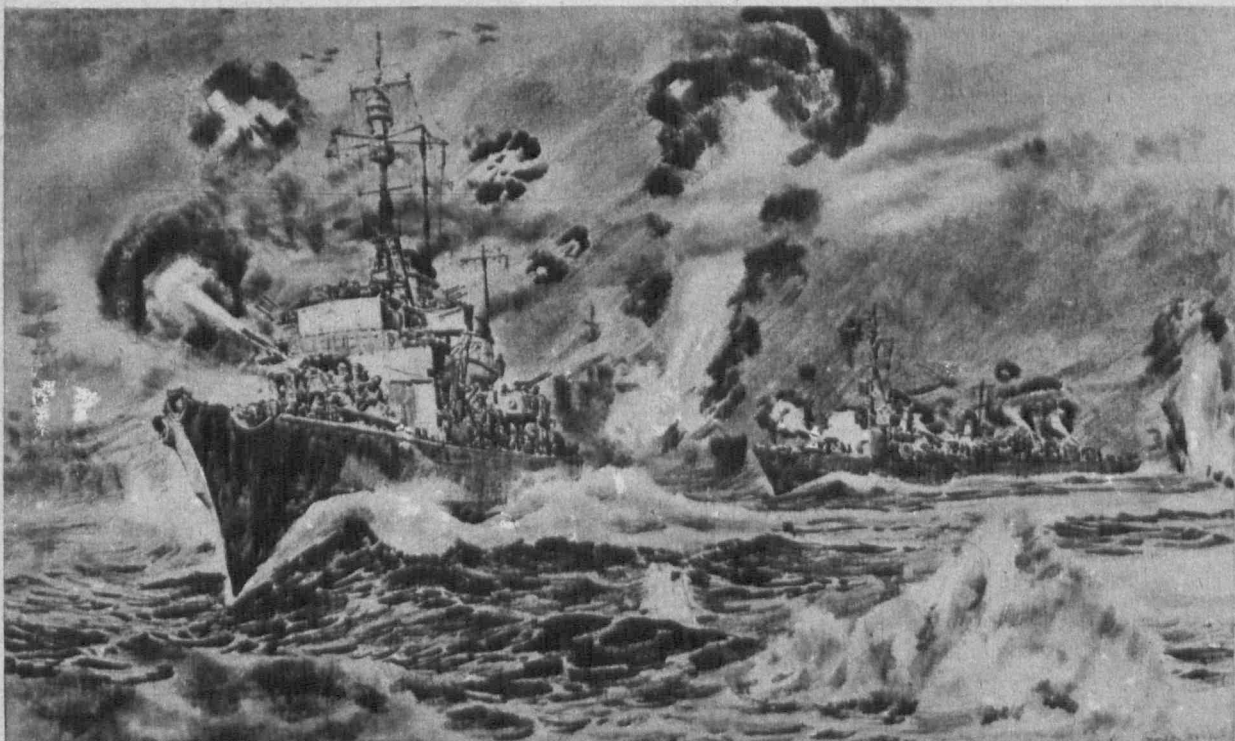


WOJENNY

Na lewo: BITWA WŚRÓD NOCY

Niemiecki miotacz granatów w czasie ataku
sowieckiego. Każdy strzał jak błyskawica
oświeca okolicę.

Fot: PK. Schröter-Sch, Schrötteldreier, Grimm,
Zuckriegel-Atl, Vater-TO, VennemannPBZ,
SS-PK, Zschäkel-Atl, Stollberg-Sch, PK-
Zeichnung Lawrenz, Friedel-Sch.

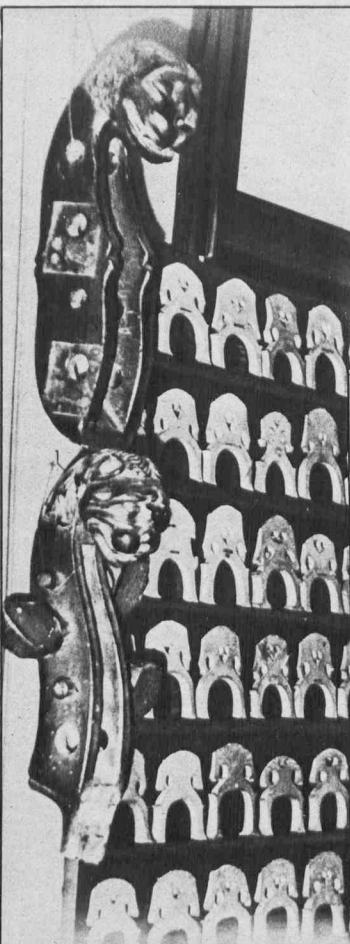


BITWA W KANALE

Dwa rysunki ilustrujące bitwę morską w chwili rozpoczęcia inwazji. Na
lewo: Niemiecki kontrtorpedowiec i ścigacze w walce z niszczycielską
flotą inwazyjną. Powyżej: Niemieckie łodzie torpedowe atakują flotę
angielsko-amerykańską, mimo, iż ta usiłuje zamaskować się przez szluczną
mgłę.

Na prawo:
Niemiecka artyleria marynarki na
pokładzie wojennego okrętu. Przy
dziale obrony przeciwlotniczej stoi
posterunek obserwacyjny i b a d a
horyzont.





Na prawo: Twórca zbioru, prof. Karol Schreiner, dobywający dźwięk z cello wiedeńskiej roboty Geissenhofa. Kolekcjoner jest sam zapalonym i znakomitym muzykiem i prezentuje chętnie, zwiastującym grę na tym czy owym instrumencie.

Na lewo: Artystycznie rzeźbione głowki basów i podstawi słonowej, będące świadectwem słodkawego wysoko posłownego rękodzielniczego instrumentalnego

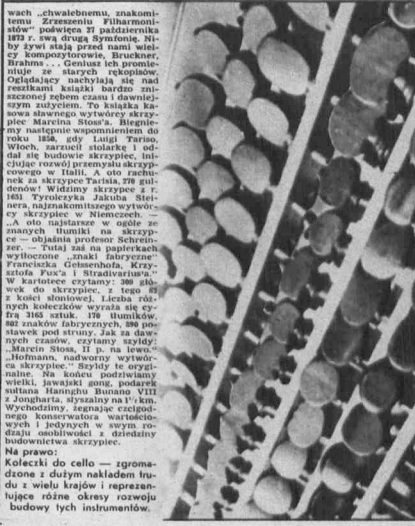
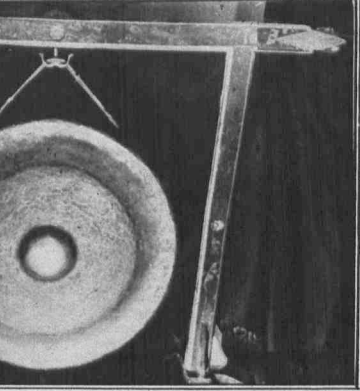
Artystów muzyków i wietniceli muzyki z całą pewnością musi interesować wszystko, co tylko ma wiązanie z muzyką. Dlatego też ugrzeszono profesora Karola Schreinerza, archiwistę i kontroliarzystę Wiedeńskiej Filharmonii zasługujące w tym względzie na szczególne podkreślenie, dzięki niemu bowiem, podzielić się możemy z Czytelnikami wrażeniami i refleksjami wywołanymi z „kolekcją” skrzypiec, nut, kolekcją, tłumików itp. skarbowo zaczęto profesora. Długość zbioru zapracował on dopiero lat temu małą gablotką szklanną, a niemało trudu kosztowało zgromadzenie tych eksponatów, jakie z dumą prezentuje nam dzisiaj ten miłośnik. Tym więcej, kiedy w świecie koncertowali wiedeńscy filharmonicy, nie brakuje tej „posiadłości” profesora Schreinerza, a prawdziwym „pięknym państwem” były dlań — jak opowiada wierszasty wytwórca instrumentów smyczkowych. Sporo miejsca w zbiorach zajmują osobliwe wieloletnie i kastaleni, części składowe instrumentów, pochodzące z Paryża, Budapesztu, Berlina, Turynu i Brukseli. W starożytności, ponad sto lat, licząc skrzypce, oglądać można także i stare kuriosa dźwiękowej wytwórczości starożytności. Ostatnio dotykamy „pożołego arkusza” z napisem „Komitet” — jest to własność dyktanta Antoniego Brucknera z daty 13 października 1884 roku, otrzymana przez Filharmonię. Tęże mistrz w skro-



Na prawo: Podarek sultana z Jongharta, Hanghu-Bunano VIII, wielki gong o pięknym i głębokim brzmieniu, słyszalny do 1 1/2 km odległości.



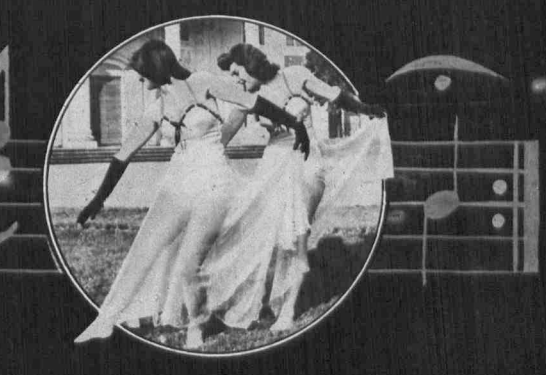
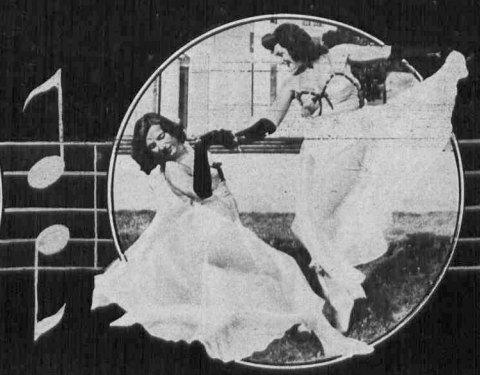
Powyżej: Skrzypce mistrza-wytwórcy Marcina Sion'a. W polu: lwa, skrzypce „kieszonkowe”, zwane tak od otworów dźwiękowych w kształcie półksiężyców. W kole na lewo: Oto dzieło wiedeńskiego Stradivaria — Geissenhofa, a opiewany dźwięku i mistrzowski wykonaniu całości. Na prawo: Dwa zabawkowe instrumenty smyczkowe ze zbioru prof. Schreinerza: Viola Kryzliana Parfa i na prawo obok cello Franciszka Geissenhofa.



wach „chwałobu”, znakomitym Zrenszem Filharmonistów” poświęca 21 października 1873 r. swą drugą Symfonię. Niby zwyli stają przed nami wielcy kompozytorzy, Brahms, Liszt, Beethoven... Genialny ich promieniejsze ze starych relikwii. Oglądający nachyliła się nad rezultatami. Bardzo miłośniczka zębem czasu i dawniejszymi zabytkami. To kaskada słowna sławnego wytwórcy skrzypiec Marcina Sion'a. Błagotny następny wspomnieniem do roku 1884, gdy Luigi Tarino, Włoch, zarządził stolarkę i oddał się budowie skrzypiec, inżynier nowożytności skrzypcowego w Italii. A oto rachunek za skrzypce Tarino, 178 guldenów! Widzimy skrzypce z r. 1881. Tyrolczyka Jakuba Sionera, najznakomitszego wytwórcy skrzypiec w Niemczech. „A oto najstarsze w ogóle ze znanych tłumiki na skrzypce — objaśnia profesor Schreiner. — Tutaj są na papierkach wytłoczone „znaki fabryczne” Franciszka Geissenhofa, Krystofa Fuxa i Stradivariusa.” W kartotece czytamy: 800 znaków do skrzypiec, z tego 80 z kolei skrzypiec. Liczba różnych kolekcji wyraża się cyfrą 184 sztuk, 178 tłumików, 88 znaków fabrycznych, 880 podsklepek pod struny. Jak z dawnych czasów, czytamy: zabytki: Marcina Sion'a, II p. na lewo: „Hofmann, nadzwyczajny wytwórca skrzypiec” — byłby to oryginalny. Na końcu podziwiany wielki, jawański gong, podarek sultana Hanghu-Bunano VIII z Jongharta, słyszalny na 1 1/2 km. Wygodniejszy, regularnie częstotliwego konserwatora wartkościznych i jedynych w swoim rodzaju osobliwości z dziedzin budownictwa skrzypiec.

Na prawo: Kolekcja do cello — zgromadzone z dużym nakładem trudu z wielu krajów i reprezentujące różne okresy rozwoju budowy tych instrumentów.

PIOSENKA

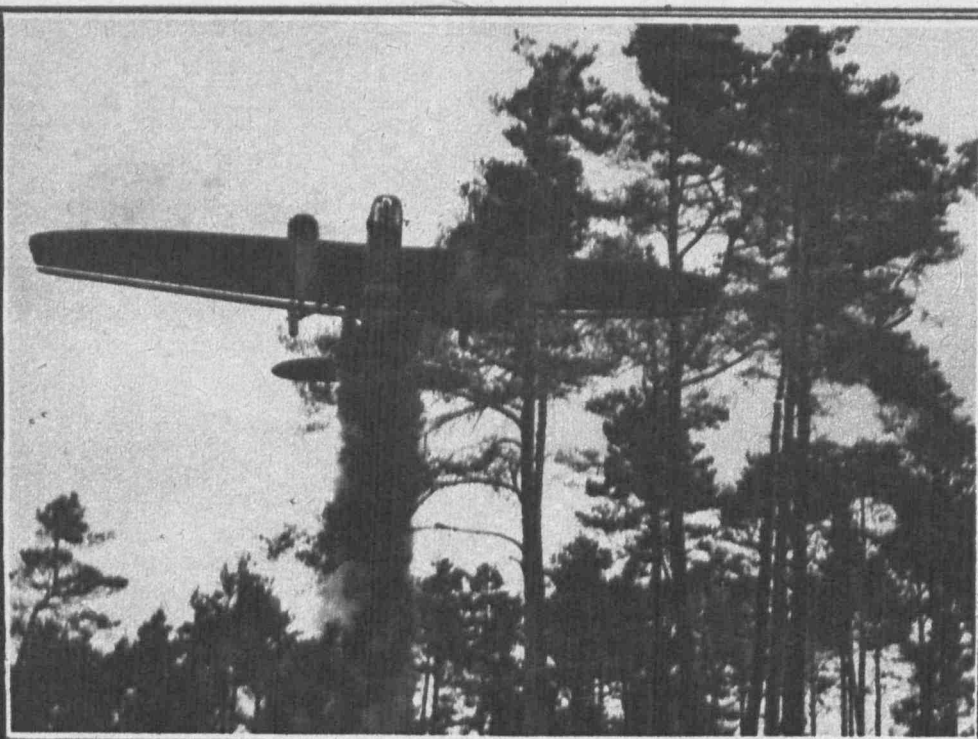
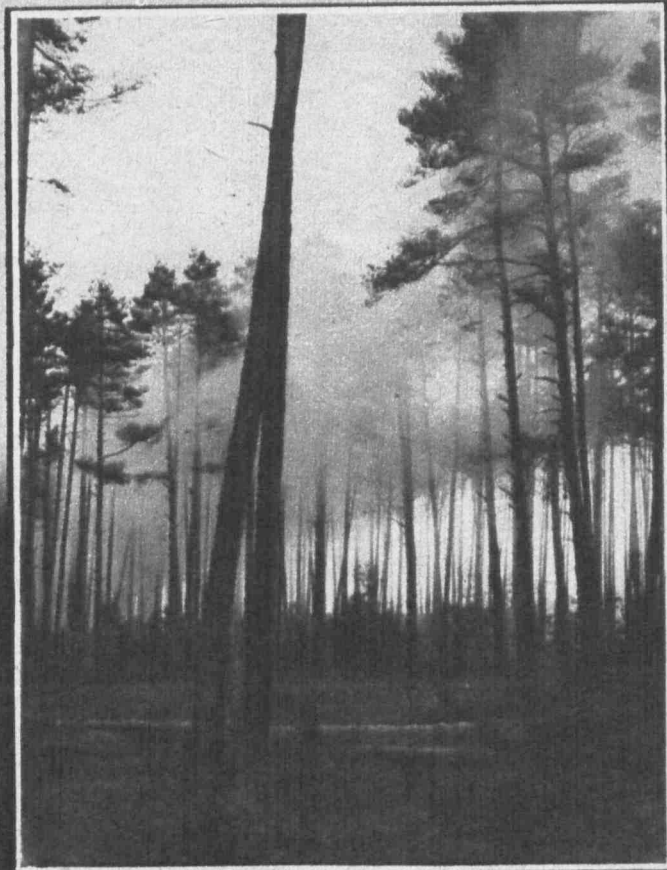


Samolot w walce z szkodnikiem leśnym

Na lewo:
Samoloty tak gęsto sieje
śmiercionośny środek po-
nad wierzchołkami drzew,
że każda gałązka musi się
dostać w ich zasięg.

Na prawo:
Chmura trutyczny rozplywa
się równomiernie między
gałęziami — gotując smut-
ny koniec osnuji.

Poniżej:
Niby długi tren sukni lub
welon ślubny snuje się nad
drzewami chmura trującego
gazu, niosącemu zaga-
dę szkodliwym sosnom.



W kole obok:
Założnie wznoszą so-
sny nagie gałęzie ku
niebu. Żarłoczność
gąsienicy osnuji do-
konale na nich
dzieła zniszczenia.



Fot.
i Tekst
S.—C.

W kole
obok: Trują-
cy środek zo-
stał umieszco-
ny w zbiorniku
samolotu wyruszającego
do walki z osnują.

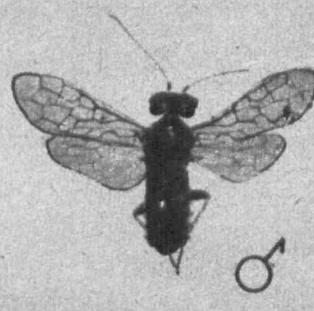
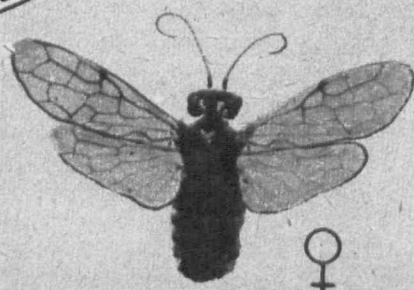
Na lewo:
Oto zaczęte żerowanie gąsienic. Szpilki zostają
u nasady obgryzione i wciągnięte w oprzęd.

Na prawo:
Okazy osnuji. Na lewo samiczka, na prawo
samczyk.



Czy nie brzmi zbyt hamorystycznie powiedzenie o zwalczaniu owadów przez... samoloty? Przypomina się znana bajeczka o walce słonia z muchą! A jednak to najczystsza prawda i najnowsza zdobycz w sposobach niszczenia wielkiego szkodnika lasów, zwłaszcza sosnowych, gąsienicy osnuji. Jako owad pojedynczy, osnuja nie jest wcale stworzonkiem groźnym. Jako owad, powiedzieliśmy. Ale jej gąsienice porównać można pod względem czyni-
wego spustoszenia w drzewostanie leśnym — chyba tylko z żarłocznością szarańczy. Jeżeli gąsienica osnuji występuje masowo, staje się klęską nawiedzonych przez się obszarów. Szkody roczne wyrządzone przez osnuje mogą iść w miliardy. A inne owady-szkodniki? Zastanówmy się tylko: 4/5 wszystkich gatunków stworzeń na świecie stanowią owady! A jakaż kolosalna ilość z nich jest tylko i wyłącznie szkodnikami! Toż można śmiało powiedzieć, że najgroźniejszym wrogiem wszystkiego co żyje — są owady. Masy owadów! Wracając do obchodzącego nas tematu stwierdzamy: Tego tylko dochować się można w gospodarce leśnej — czego nie raczą zniszczyć owady! I to święta prawda. Bogu Najwyższemu dzięki, natura sama pora się z owadami. Pomiedzy niezliczonymi rodzajami istot żywych zachowuje się równowaga stała. Tak chce

Ciąg dalszy na stronie 10-tej



Tancerka Epopea

Madame Rose zmierzyla ją od progu swoim podejrzliwym, na pewno nawet specjalnie w tej chwili krytycznym spojrzeniem wyblakłych, a jednak wyraźnych spoza okularów oczów i bez słowa cofnęła się do ciemnego korytarza.

— Dostała Pani telegram, że wracam znowu? — spytała Mary, przemykając za sobą drzwi. Skrzypnęły przejmująco, nieprzyjemnie, jak zawsze, jak długo pamięta. Jeszcze nie naoliwione... I cierpki zapach flitu, naftaliny, niewietrzonych pomieszczeń i ubrań. Nie zmieniło się nic...

— Tak, przyszedł w południe. Ale one jeszcze nic nie wiedzą i nie wiem czy zechcą na trzecią...

— Przecież było tak zawsze. Nie pamiętam, ale chyba z osiem lat. Mieszkaliśmy tu zawsze we trzy.

Madame Rose już nic nie powiedziała. Nie była gadatliwa. Zresztą do Mary odnosiła się zawsze niechętnie, z uprzedzeniem. I w chwili, gdy Mary u niej odnajmowała pokój, zaraz potem, jak Stomphson zaangażował ją do swojej rewii, specjalnie w tym okresie całego może nawet kwartału, gdy zalegała z komornym (ten potwór, Fraut, kasjer, wydawał zaliczki a czasem to i należne gaże według swoich „widzimisic”, czy innych sympatyjek...) A nawet wtedy, gdy odjeżdżając w bajkową swoją przyszłość Mary ofiarowała swojej gospodyni śliczny obrus z prawdziwym Richelieu. Krytycznie i podejrzliwie nastawiona brała ona Mary wszystko za złe: i jej niekończące się opowiadania o André, jedyną jego w tym mieszkanku wizytę no i cudowne zakończenie tej znajomości, odjazd Mary do Pelligue do białej zacisznej willi, do bezgranicznego szczęścia we dwoje, do nowego nazwiska, do nowej nienależnej jej może pozycji w świecie. Może nie wierzyła, że do biednej, nieznannej tancerki uśmiechnąć się może tak wielkie szczęście? ... Tak jak do końca nie wierzyły koleżanki z zespołu... — budząc się z radosnym biciem serca nie wierzyła sama Mary? ...

Drzwi do ich wspólnego pokoiku otwierają się do wewnątrz. Pamięta, że kontakt jest po lewej stronie tuż przy wieszaku.

Umbry od lampy nie czyściły chyba od samego jej odjazdu. Lampa dawała mdłe, przykre błyski, ale w ich świetle ciasny pokój był taki sam, niezmieniony, jak w jej wspomnieniach... Tak właśnie wczoraj, gdy zdecydowała się, wyobrażała sobie, że tak będzie, gdy wejdzie znowu tutaj.

Ach, wczoraj jeszcze — dopiero wyobrażała sobie tylko... Dziś — już rzeczywistość, już tu jest, już zapadła kłamka... Cicho zamknęła się za nią kłamka tamtego białego domu. Z nieprzyjemnym szmerem zatrząsnęła się ta od drzwi tego ponurego pokoju.

Nie sprawiły sobie nowego wieszaka. Szafki jak dawniej wisiały koło siebie na gwoździach. Czerwony w białe storki — Nuśki. A więc nie wyprowadziła się stąd — a marzyła, że dostanie zyskowniejsze engagement, zmieni mieszkanie („rzucę tę budę do cholery!”) Ten drugi... Nie, to nie jest szlafrok Isi. Choć też jest znany. Mary widywała go już gdzieś... W garderobie? Za kulisami? ... I jej własny, ten stary pstrokaty lach w maki, zostawiony „w spadku” dla Isi. Czyżby z Isi „przeszedł” znów na Nuśkę, czy tę inną? Bo Isi nie mieszka tu już. Ktoś inna dzieli pokój z Nuśką. Wystarczy na stwierdzenie tego jeden rzut oka na półeczkę z baletkami. Nieodkurzane baletowe ćwiczeniówki w nieładzie, ciśnięte byle jak, w pośpiechu. Baletki Nuśki Mary poznaje od razu. Obydwie pary zniszczone na czubkach,



z lewej nogi więcej, niż z prawej. Ale te dwie pary takich małych, prawie nowych nie należą do Isi. Miała większą nogę.

Co stać się mogło z Iską? ... Iska za bardzo może stawiała się inspicjentowi. Ten bez troski złotowłosy, zawsze roześmiany chochlik (... ileż razy Mary budził ze snu jej przejmujący, wduszany w poduszkę szloch...) nie mogła się nie podobać. Iska miała to „coś”. A inspicjent Kański był zazdrosny, zwierzęco zazdrosny — i Isina kariera mogła prędko się skończyć. Mogło zbraknąć dla niej engagement (jedno mściwe, judaszowskie słówko Kańskiego do dyrektora...).

Gdzie poszła stąd? Bo trudno mieszkać skromniej i biedniej. I jeżeli nie ma się nawet na zapłatę tej kwoty za czynsz?... Ale przecież Isia mogła również zdobyć rozgłos, sławę, karierę (... i kto wie, czy jej nie zdobyła... i jaką...?)

Kim jest nowa? Ładna, jedwabna, bielizna w nieładzie rzucona w szafie? Luksusowe, domowe pantofelki z wykwiętym futerkiem. Może dziewczyna z „dobrego domu” (albo z dobrym, bogatym przyjacielem...)?

Z kim Nuśka dzieli pokój, troski, głód i wrażenia? Od dziś będą tu mieszkać razem. Tancerki...

Dreszcz przechodzi od karku przez plecy. Tętna biją głośno, bardzo głośno, a w ustach smak piołunu. I tępy ból koło serca. Tak, jak wczoraj od dwóch dni. Dwa dni? A zdaje się, że to już miesiącę tej męki, niepokoju, żalu.

Mary siada na niskiej skórzanej kanapie. Ileż razy siadała tutaj. Zawsze zmęczona. Zawsze z obolałym krzyżem po akrobatycznych numerach, albo po tym piekielnym foxtrotowym tempie w modnych rewialach sezonu. Z bólem mięśni. Szalonym, przenikliwym. A gorzej, że dyskwalifikującym, żenującym (... „ach nie myślcie, że jestem zmęczona. Po prostu za dużo wrażeń! Było przecież cudownie”...)

Czyż będzie umiała jeszcze stanąć na pointach? Iść znów ćwiczeń, żeby dojść do perfekcji, choćby do tej umiejętności sprzed pół roku! ... A przecież trzeba umieć więcej, lepiej, iść naprzód. A jeżeli one wszystkie, dziewczęta z jej zespołu wyprzedziły ją znacznie? Trwoga. Straszna trwoga

we? Twoje nogi i bez lustra nie są za bardzo proste. I Kański tego nie zauważył? Miałas szczęście!”)

Małe lusterko... Ileż razy odbijało jej twarz. Zawsze w wybiegach, spotniała, z niespokojnymi, krytycznymi oczami, w gorące tremy, w pośpiechu. Twarz Markietanki w „Teatryku Minionej Przyszłości”, upiornie błądą pod pudrem twarz w „Mazurce” i jaskrawą w „Romansie Cygańskim” i w aureoli diadem, kolczyków i kolij w „Walcu”.

Chyba najlepiej było jeszcze z początku. Sam Kański mówił, że ma nieprzeciętne zadatki na tancerkę (może tylko po prostu ładne nogi?) Była protegowaną wielkiej Doroty Nieck, solistki (Dorota Nieck chciała „wywalić” z zespołu Lilę Piedmont i gwałtem chciała już na jej miejsce nową kandydatkę). Baletmistrz Werner był taki uważający, rozbrajająco cierpliwy, gdy tłumaczył jakieś zawikłane pas (a ruda Lorka... zaraz, jak jej było na nazwisko?... wcale zdawała się nie zauważać, że robi to jej na złość). I Kański dał jej wtedy solówkę w Teatryku Minionej Przyszłości.

Ach! w całej jej minionej przeszłości był ciągle teatr. Zaproszone, tandetnie postawione kulis, jaskrawe, na efekt dekoracje, zapach używanych kostiumów, nasiąkniętych fetorem obcych, zgrzanych ciał, tłustej szminki i przypalanych na fryzjerskich żelazkach loków i peruk, deski sceniczne chropowate, zawsze nieubłagane nieelastyczne, głos baletmistrza, wieczny pośpiech, nieuleczalne zmęczenie, białe arkusze kontrastów, kwity na zaliczkę i głód. Wiecznie teatr. Zmieniały się tytuły rewii, kolory i treść afiszów, rozlepianych w holu, na parkanach, za wystawami, zmieniały się twarze widzów w krzesłach, światła reflektorów, kostiumy, solistki i primabaleriny, koleżanki w zespole, tancerne pas i ćwiczenia (no i zmieniały się humory i sympatie inspicjenta, czy dyrektora, zmieniał się styl, przedmiot snujących się plotek i intryg, rzucających przekleństw i wyzwań).

I zmieniały się czasem plany na przyszłość, ambicje i marzenia: Naprzód optymistycznie, że musi zostać gwiazdą, że kto wie, czy nie przewyższy sławą wielkiej Nieck, że będzie pobierał dziesięciokrotnie gażę i jaki ten Kański miły, żeby tak się oświadczył?... A potem, żeby tylko dostać małą jakąś solówkę, żeby dali choć całe dwieście złotych, bo inaczej zdechnie się z głodu, żeby Kański uśmiechnął się do niej raz, albo poglaskał po ramieniu, przechodząc... A w dłuższy czas potem myśli się tylko o tym, żeby nie usunęli z zespołu za tą awanturę z Mimi i żeby ta bezczelna smarkata dostała za swoje... Czy ten nowy znajomy zaprosi na kolację, a co będzie, jak nie uzyska się zaliczki choćby dwudziestu złotych, bo trzeba na fryzjera koniecznie, nie mówiąc o obiadach (a do pierwszego jeszcze dziesięć dni...)

Gorycz w ustach staje się nie do zniesienia. Mary czuje szum w uszach, jak dawniej po każdej premierze (albo po każdej awanturze z Kańskim) — ciekawe, że jednakowe wrażenia... I mąci się w głowie nieźnośnie, nużąc — jak po bisowaniu forsownego czardasa na niemożliwie wysokich drewnianych korkach długich butów i w tamującym oddech obciśniętym gorsecie — albo jak po wódce, wypitej na czczy żołądek po dobre, lub więcej głodówki, na kolacji z wspałałomyślnym nieznajomym.

Nuśka i tamta druga jadły wczoraj czerstwe bułki i ser, którego skórki walały się na spodeczku w papierosowym popiele. Taki najtańszy smażony ser i bezustnikowe papierosy za parę centimów...

Mary podchodzi do okna, otwiera je, mając wrażenie, że się dusi. A przecież tak niedawno nie paliła innych i wołała mieć choć ser, niż głodna kłaść się spać.

Kolorowy, obsztyt wytartymi cekinami łasek porzucony na krześle. Ach! ten inspicjent znów umniejszał w powierzone baletowe kostiumy w rewii. Jeszcze silniej, bardziej negligowo dekoltowane przejryste staniczki, jeszcze bardziej wycięte ażurowe szpongi.

Wspomnienie przykrej, bolesnej sekundy, gdy po raz pierwszy w niedyskretnym żarze reflektorów stanęła przed podniesioną kurtyną w takim kostiumiku girlsy gdy czuła się naga na oczach patrzących z krzesel widowni, ponizona i dyskwalifikowana. Ale po tej pierwszej w życiu premierze przyszły następne wieczory, przedstawienie po przedstawieniu, efekt po efekcie, wciąż nowe tricki podług gustu zmiennej, niewybrednej, ale płaczącej publiczności. A potem było już jej wszystko jedno, przechodziło bez wrażenia. Przecież nie mogła się ośmieszać... Przecież tak wszystkie... Dzwonek.

Z przedpokoju dochodzą do Mary fragmenty prowadzonej rozmowy. Głos madame Rose: — Nie wierzy Pan? Przyjechała przed godziną. Zawiadomiła telegramem dziś z rana. Nie, nie położyła się. Niech Pan wejdzie...

W sylwetce wylaniającej się z mroku korytarza Mary rozpoznaje starego Henry. Właściwie nie jest stary, a te pół roku nie zmieniło go, ani nie postarzało zupełnie. Te srebrzace się pasma nad czołem miał już podobno i we wcześniejszej młodości. Pocziwy, kochany Henry. Może dlatego tancerki z teatru uważały go za starego, że miał ten ojcowski sposób podejścia do każdej, dla każdej najserdeczniejszą, najbardziej lojalną przyjaźń i przywiązanie (a któryż męż-

przed rywalizacją, przed ryzykiem, przed całym tym nowym życiem. A raczej przed starym, do którego się wraca, a o którym starało się nie myśleć już, ani wspominać nawet...)

Lustro... Ach, dziewczęta wzięły sobie do mieszkania to piękne, z ich garderoby. Bo tam mają teraz wspólne, większe, nie krzywiące tak szpetnie linij i rysów („Dada, mówisz, że lustro krzy-

czyzna do tancerki specjalnie chce ustosunkować się jak — ojciec?)

Henry był suflerem w sztukach mówionych w teatrze Stomphsona. Był przyjacielem całej artystycznej braci. Ratował aktora w najtragiczniejszych momentach, gdy zawodziła pamięć, czy pokreśliły się słowa tekstu. Zawsze bez zawiści aktorskiej, pozbawiony egoistycznych ambicji, oparty, bezstronny i szczerzy. Czasem jedynie pozwalał sobie na małe tiki tliwy sentymencik do którejś z aktorek, czy tancerek, — ale i to nie potrafiło go wyprowadzić z przysłowiowej u niego równowagi. W sezonach, gdy u Stomphsona szły operetki, czy balet, stawał się oredownikiem, sojusznikiem i impresariem każdej najmniejszej i najskąpiej utalentowanej „gwiazdki”. Znal je wszystkie, był przy sporządzaniu każdego kontraktu, pilnował przestrzegania jego paragrafów, wstawał się w dyrekcji o pobłażliwość dla rozmaitych przygód dziewcząt, rozsądzał ich spory, wyjednywał zaliczki.

— Mary! To ty naprawdę? Co się stało? — Henry nie zdaje się być zachwycony niespodzianką. Dziewczyna, stojąca naprzeciw ma bladą bez życia twarz, nieruchome oczy, pociemniałe i lśniące niezdrowo.

Henry jest znawcą ludzi: — Wróciłaś? Co się stało?

„Co się stało?” Może właściwie nie stało się nic. Jeden wieczór, kaprys, narzucony chwilą i parę kieliszków burgunda za dużo. Co się stało? Jedno zdanie André. Jedno jego powiedzenie. Może tylko jedno słowo. Ale intonacja, ale gest, twarz jego, spojrzenie w chwili, gdy je wymawiał. I najstraszniejsze, że nie można powiedzieć, że był niesprawiedliwym. Po jego stronie była racja.

Nie myśleć o tym wieczorze sprzed dwóch dni! Nie wspominać w ogóle półrocznego okresu małżeństwa z André, zapomnieć o nim, że był, że kochał.

— Henry, przyjacielu. Co słychać? Stale u Stomphsona? A Nuśka?

Henry starał się nie okazywać zdziwienia, ani ciekawości. Był psychologiem, a przy tym znawcą kobiet, a raczej pewnego ich rodzaju; znał wszystkie kobiety-aktorki rozmaitych kategorii i pochodzenia. Wiedział, że dziewczyna nie powie mu nic, ani słowa o sobie, co zaszkodziło i co sprawiło ją z powrotem do biednego pokoiku tancerki. Nie może na razie być mowy o zwierzeniach. Jeszcze na nie nie czas.

Henry ztakte światowca podchwycił temat, podsunął przez Mary i żywo, plastycznie malował ją życie aktorskie i zakulisowe dni, które upływały zawsze, nieprzerwanie, gdy ona była daleko.

— Stomphson daje teraz operetkę z Marienne Davon i Bresterem. Marienne — to kasa. Nieprzeciętne powodzenie. Tak, jest maly balet, wychodzi dwa razy; w drugim i trzecim akcie. Ale zespół zredukowany. Nuśka? Nuśkę zaangażował Tom Brick. Pamiętasz go? Tańczyła u niego w rewii w „Petite Opera”. Teraz kręci taneczny film. I Nuśka miała szczęście. Nie, nie jako solistka, tańczy w grupie. Hm... więc powiadasz, że chcesz tańczyć znowu? A jak z twoją formą? Bo teraz będzie trudniej o korzystne engagement. Ale zdaj sprawę na Henry’ego. Moja w tym głowa. Grudek wspominał mi, że potrzebuje jeszcze kilka do zespołu.

— Ach, Grudek... wolałabym nie. Gdy odjeżdżałam z André — głos się załamał — zerwałam z nim kontrakt, pamiętasz?

— No, ale dostał odszkodowanie. André dobrze zapłacił za twoje uwolnienie. Zresztą nie potrzebujesz iść sama do niego prosić. Ja to załatwię ci. Nawet lepiej, że obejdzie się bez sensacji. A twój powrót do zespołu... wzbudzi dużo zainteresowania. Przyniosę ci od razu gotowy już kontrakt do podpisu. Jeszcze dziś, bo wiem, że sprawa aktualna. To nie będzie bardzo dobrze płatne i wiem, że Grudek jest bardzo niesympatyczny, ale powiadam, że poza tym wszędzie byłoby bardzo trudno i mogłabyś zostać bez niczego. Wszyscy są już na sezon skontraktowani i nie potrzebują sił.

— A w tym filmie, gdzie Nuśka?

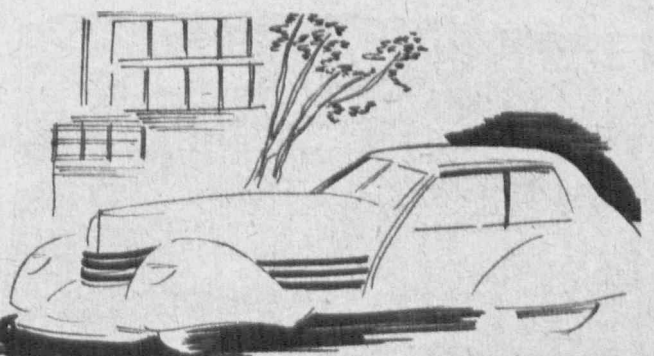
— To ciężka praca, nie dla ciebie — objął wziętą postać zatroskanym spojrzeniem — zresztą zostaw numer telefonu. Możesz zadzwonić do Toma, albo z Nuśką porozmawiać telefonicznie w przerwie. Boję się, że będziesz sama do rana. Próby u Toma Bricka przed obiektywem przeciągają się czasem i na całą noc. Nuśka nie prędko wróci a tamta...

Podniósł się z krzesła z dziwnym stądowniem brwi: — Wiesz, nazywa się Ellen i jest niezwykle ładna. Ale kpi sobie z wszystkiego; z teatru, z prób. Pracuje u Dereyów. Dobrze jej płacą, ale grożą wylaniem, bo nie przychodzi na próby. I na noc do domu też nie. Dziś nie nocowała. I znów nie będzie jej na próbie, nie wzięła kostiumu...

Mary zaśmiała się nerwowo. Chciała mu zrobić przyjemność, pokazać, że wszystko w porządku, zupełnie, jak dawniej. Tamta „szelmutka Mary” sprzed sześciu miesięcy rozśmiała się w tym miejscu na pewno hulaśliwie, żywiołowo.

— Acha, owa cudna Ellen należy do tych, co nie cierpią samotności i własnego mieszkania, co?

Henry ściągnął usta i zrozumiała, że zrobiła mu przykrość. I samej sobie również. Bo przyszło wspomnienie ostatniej nocy, spędzonej w białej willi w Pelligue. Samotna we wła-



snym mieszkaniu... W ich cudnym zacisku przy rue Cachée. André zostawił ją samą. On André, ukochany mąż. Wyprowadził z garażu auto (ileż wspomnień łączy się z tym popielatym Citroenem...). Nerwowo, pośpiesznie. Ostрым łukiem zarzucił na rogu rue de Philippe reflektory odprowadzając jej wzrokiem limuzyny, sygnał zabrzmiał niecierpliwie, brutalnie. Czarna noc, nie przyniosząca dla niej jaśniejszego świtu. Noc wyczekiwań napróżno. I druga noc również czarna i zła, spędzona na dworcu węzłowej stacji Bertonoi, gdy postanowiła rzucić wszystko, szczęście w willi przy rue Cachée, wspomnienie o wielkiej miłości. Ona, szalona Mary, która już w tej chwili żalowała tego.

Ciąg dalszy nastąpi

ROZMAITOŚCI

KALESONY JESZCZE NICZEGO NIE DOWODZĄ

Czasem i pozory mylą, a mężczyzna w kalesonach w jednym z zakładów prasowniczych nie jest jeszcze żadnym dowodem niewierności małżeńskiej. Mężczyznę w kalesonach był stary kawaler, który pośliznąwszy się na schodach, wprawdzie nie poniósł żadnych uszkodzeń cielesnych, tylko nieprzyjemną stratę w postaci potarganych spodni. W zakładzie tym, którego sam był stałym klientem szukał ucieczki i pomyślnego załatwienia sprawy. Pracownia ta znana była nie tylko z pilności i pierwszorzędnego wykonywania swoich prac, ale mówiono również wiele o pięknej właścicielce, która właśnie w tej chwili poleciała wejść „panu w kalesonach” do pokoju i czekać dopóki dziury na spodniach nie zostaną naprawione.

Całość przeszła byłaby całkiem niewinnie z zarobkiem kilku lirów dla usługowej właścicielki, gdyby nie zazdrość męża, który zjawił się właśnie w tym momencie. Ten nie pytał: „Jak i dlaczego” tylko wzniósł krzyk sprowadzający ludzi z ulicy jako świadków i w najgorszych wyrazach odgrażał się swojej żonie i człowiekowi w kalesonach.

Zbiegowisko ludzi sprowadziło policjanta, który pytał o wyjaśnienie zapłakanej właścicielki i czerwonego jak piwonii mężczyzny.

Szybko stwierdzony stan rzeczy zmienił całkowicie sytuację, a ośmieszony małżonek stał teraz winnym wobec wszystkich zawdzięczając niepotrzebne to zajście swojej wybuchowej naturze.

DLACZEGO KONIE ŚPIĄ STOJĄC

Z pewnością każdy z nas widział już, że konie śpią stojąc przeważnie. Nieraz nie kładą się całymi tygodniami,

a jednak są zdrowe i wypasane i praca ich nie wykazuje ujemnych skutków takiego spania na stojąco. Człowiek nie wytrzymałby takiego sposobu wypoczyniania, gdyż mięśnie

naszego ciała wykonują pracę podczas stania, o czym sami dobrze wiemy, gdy kilka godzin musimy stać bez możliwości wypoczynku. „Cały czas na nogach” oto zdanie, które często słyszymy i które jest synonimem zmęczenia. U koni jest jednak inaczej: jeżeli koń już raz mięśnie naprężył, pozostają one naprężone bez wysiłku mięśniowego. Ten „mechanizm” nóg końskich pozwala temu zwierzęciu wypoczywać stojąco. W przeciwnym razie do koni, śpią krowy i inne zwierzęta domowe leżąc.

Również ptaki nie kładą się, lecz objawiając palcami gałązkę, chowają głowę w piórko i zasypiają. Gdyż u nich ściętna przechodzą przez całą kończynę aż do samych czubków palców. Zakrzywienie palców dokoła gałązki jest czynnością mechaniczną, instynktową. Dlatego ptaki nie spały z drzew, nawet wtedy, gdy śpią. Tak to natura zaopatrzyła wszystkie stworzenia by mogły żyć i rozwijać się po swojemu.



MOŻE ZNAJDZIE NAŚLADOWCÓW

Na lewo: mieszkaniowiec wysp południowego Pacyfiku, który ten strój przybiera do jazdy konnej. Białe tło spodni pokryte jest różnobarwnymi malowidłami w stylu miejscowym, przedstawiającymi motywy z życia tubylców. Ten Malajczyk może o sobie powiedzieć, że jest miłośnikiem sztuki, bo nie rozstaje się ze swoimi „płótnami” nawet w podróży oceanicznych.

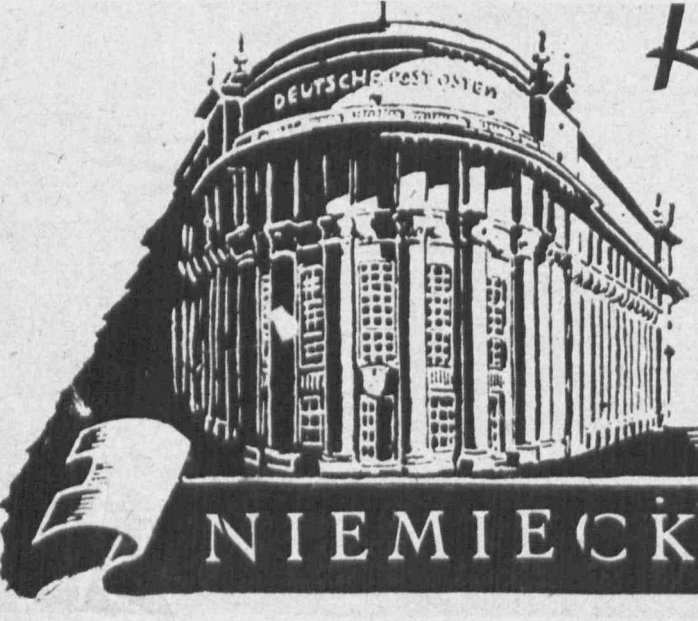
PIES W BUTACH

Pies jest najwierniejszym towarzyszem człowieka, a przy tym doskonałym pracownikiem. Może to powiedzieć szczególnie Eskimos, dla którego pies jest niezastąpiony jako zwierzę pociągowe: mocny, wytrzymały na mróz i słotę i wytrwały na trudy klimatu polarnego. Jest chroniony przed zimnem przez doskonałe futro, ale nogi ma bose. Toteż Eskimos nakłada swojemu zaprzęgowi buty futrzane, które chronią zwierzęta przed ostrymi kolcami lodu i mrozem.

JAK TY MNIE, TAK JA TOBIE

Żona pewnego kupca miała przyjaciela, który jej sprezentował drogocenną suknię. By upomnieć przed mężem nabyć tak kosztownej toalety zastawiła ją w lombardzie za niewielką kwotę. Kwit z lombardu pokazała wieczorem mężowi. — Popatrz co znalazłam na ulicy — powiedziała do niego. — Ponieważ nie wiem kto mógł zgubić tę karteczkę wzięłam ją. Na pewno to nie wartościowego, gdyż cena zastawu jest niewielka. Idź jednak do lombardu i przekonaj się co to takiego. Nazajutrz przyniósł jej mąż parę starych kaloszy, które rzekomo wydali mu na znaleziony kwit zastawniczy. Suknię swą zobaczyła w jakiś czas potem na sekretarce męża. Ale ponieważ sama nie była bez winy, nie mogła rzucać kamieni ani na sekretarkę ani na swego męża.

Ilustrowany Kurier Polski — Kraków, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Poczta: Konto Czekowe: Warszawa Nr. 900



Korzystaj

Z OBROTU CZEKOWEGO i OSZCZĘDNOŚCIOWEGO

NIEMIECKIEJ POCZTY W SCHODU



Nikt tego nie wie dokładnie, lecz ona wie, że wszyscy uważają ją za młodszą aniżeli jest w rzeczywistości. — Jaką radość sprawia to w tym wieku. — Jednakże, gdy się chce, aby wygląd pozostał młodzieńczy, a ciało świeże i elastyczne, należy obok sportów uprawiać celową pielęgnację skóry za pomocą VASENOLU-pudru do ciała.

Vasenol

J. JASIŃSKI

HURTOWNIA ART. DROG. I PERF. KOSMET.
NOWY SĄCZ, UL. GŁÓWNA 23, TEL. 208

DR ST. KRAJEWSKI wener. i skórno Warszawa
Al. Jerozolimskie 23/10 godz. 4-7 tel. 907-33

3-mies. Korespondencyjne Kursa Nowoczesnej Księgowości z szczególnym uwzględnieniem księgowości przebiekowej wg. obow. jednolitego planu kont, księgowości rolniczej, administracyjnej prowadzi Publ. Kupiecka Szkoła Zawodowa w Reichshof (Rzeszów). Zgłoszenia: Sekretariat Szkoły, ul. Hoffmannowej 3, tel. 16-43. Dla absolwentów świadectwa. Na żądanie bezpłatnie szczegółowe prospekty.

Wysłać towar tylko znanych firm, po najniższych cenach rynkowych. Bogaty asortyment artykułów drogerijnych, kosmetycznych i galanterii kosmetycznej, oraz gospodarstwa domowego. Towar wysłać za zaliczeniem pocztowym. Na żądanie aktualne cenniki.

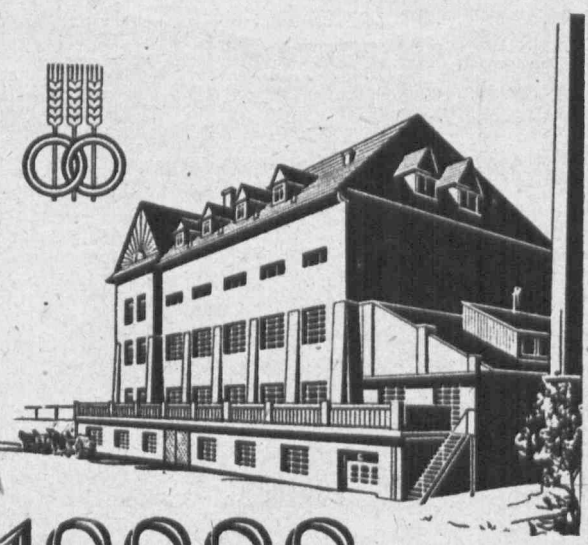
PORTRET KOLOROWY W RAMACH

z każdej fotografii. — Nadeślij zdjęcie, opis zmian, 10 zł, otrzymasz portret próbny powiększenie-sepia) w rozmiarach: 24x30 cm — 50 zł, 30x40 cm — 60 zł, 40x50 cm — 70 zł pobranie pocztowym w 10 dni. Popiersia, całe postacie, portrety rodzinne, ślubne, dziecięce, pamiątkowe. Złączenia kilku fotografii, żądane zmiany nie wpływają na cenę.

Zwrot fotografii.

↓

LECH
Warszawa
Wilcza 71



100000

Spółdzielni

w Generalnym Gubernatorstwie
stoi w służbie

zabezpieczenia wyżywienia ludności

ALTRA

ROŚLINNY ŚRODEK
NIEZAWODNIE
I BEZBOLEŚNIE

DR. A. WANDER S.A. KRAKÓW. DO NABYCIA W APTEKACH I DROGERIACH
CENA: 20 DRAŻETEK ŻŁ. 240-NR-REJ-1873

przeznaczona

W iadomo. Pudeleczo pudeleczo nierówne. Są i takie i siakie, i jeszcze całkiem jensze. Ale to pudeleczo, które matula przyniosła z miasta, z apteki, cacane było jak żadne.

— Pokażcie, pokażcie — napraszała się Karolcia, wypadając naprzeciw matki do sionek. Schwyciła pudeleczo w obie garście i nuże kiwać głową, fiufiutać przez zęby i wpatrywać się w pudeleczo jak sroka w gnat.

A miała się w co wpatrywać, oj miała. Pudeleczo było niebiesiuchne jak farbka i przetrzągnięte żółtym kaczęciem. A mało tego. Nad kwiatuskami podfruwwały pszczołki. Furkotały błonkowatymi skrzydłkami. Strzygły łapkami...

— Utrafione jak żywe — zachwycała się Karolcia i wykrecala pudelecziem na wszystkie boki.

— Ostaw, ostaw — zaniepokoiła się matka. — Uważaj, bo wysypiesz Zuzine piguleczki...

Wydarła Karolci lekarstwo z garści i weszła do izby.

Sięgnęła za pazuchę, podeszła do stołu, na którym siedziała mała Zuzia i podała zasmakkanemu dziecku kupiony na straganie obwarzanek.

Niechaj się ucieszy córuchna — maluchna — mówiła pieszczotliwie.

Karolcia westchnęła.

— A dla mnie, to figę z makiem kupiła — pomyślała.

Dla niej były przypominki.

— Ugotowałaś ojcu obiad?

— A jakże.

— Krowę wydoiłaś?

— A jakże.

— Zielska świniakowi usiekałaś?

— A jakże.

— Zuziuchnę przypilnowała?

— Dyć siedzi w calości na stole...

A zażerała się obwarzankiem, co jaże serce bolało patrzeć. Inna jaka, toby choć kawalutką odłamała i dała pokosztować, ale spodziewaj się, głupi, takiej rzeczy po Zuziuchnie.

— Udław się tym obwarzankiem — pisała jej Karolcia w myślach życzenie.

A jak tylko matka odstawiła na bok szaflik z pomyjami i wepchała się do komory, to Karolcia znowu schwyciła pudeleczo do rąk.

— Nie rusz, a dawaj je tutaj!

Ale dogadał się tu człeku z Karolcią. Schowała pudeleczo pod kaftanik, przycisnęła do serca i wierząc się, i kręcąc na miejscu, jak ten świder, zaczęła skamleć:

— Matulu, matulu! Podarujta me to pudeleczo, podarujta!



— Akurat — burknęła matka. — Stara dziewczucha. Na dziesiąty rok jej idzie, a głupia, jak to bydło. Nie poto taki kawał drogi do miasta chadzałam i wywaliliam na to lekarstwo jaże dwa złote i groszów sześćdziesiąt. Bezmała ostatni grosz wysupiliam...

Westchnęła ciężko. Zawdy wzdychała jak o wydatkach mówiła i dorzuciła:

— No, dla siebie to byłabym nie kupowała, ale zdrowie dziecka też człowiekowi mile...

I wrzasnęła:

— Nie wydziwiaj po próznicy, a dawajno pudeleczo!

Ale Karolcia spozierała na matkę takimi słodziuchnymi oczkami, w których błyszczały łezki, że zmiękła coś nie coś.

— No to poczekaj — rzekła. — Bez całuchną drogę już tak sobie obmyślałam, że koraliki będę trzymała w tym pudeleczeniu. Ale trudno! Jak ci się tak bardzo spodobało, to ci je chyba podaruję, jak tylko Zuzia wyłyka wszystkie pigułki...

Karolka na te słowa, aż podskoczyła z radości.

— No to niechaj tyka! Na co tu czekać?

— A juści. Teraz una tykała nie będzie.

— A kiedy?

— Jutro.

— O Matko Najświętsza! Ale jutro, to już Zuzia powinna załatwić się w mig z tymi pigułkami.

— Tak dobrze nie będzie. Pan doktor surowo przykazał, co by jeno po dwie piguleczki dawać dziecku na czczo co rano...

— A wieleż tam tego?

— Nie wiem. Nie rachowałam, ale miarkuję, co za taki duży pieniądz, to powinno być sporo...

— A bo to Zuzi pomogą na zdrowiu jak tak rozwiekle będzie tykała?

— Nie wiem. I mnie też się coś zdaje, że to trochę za pomalutka. Ale cóż? Pana doktora należy słuchać, a już jak tam będzie ze zdrowiem Zuziuchny, to się obaczy po kilku tygodniach...

Wzięła pudeleczo z rąk Karolci, położyła je na półce w komorze, a potem sięgnęła na łóżko po chustkę i po jakąś nie dużą flaszeczkę i skierowała się do drzwi.

— Przeleć się do Wawronowej — rzekła. — Tamoj chłop chorey leży, więc me prosila co by i jemu przynieść z apteki smarowidło.

Po wyjściu matuli Karolcia natychmiast odparła z kółka drzwi komory i sięgnęła na półkę po swoje pudeleczo.

— Ależ cudenka — westchnęła. — Napatrzyć się na to pudeleczo nie mogę. A także muszę koniecznie obaczyć wiele tam tych pigulek...

I otworzyła pudeleczo. A było pełniusiennie.

— O rety — zmartwiła się — toć chyba osiwieję zanim je Zuzia wyłyka. Nigdy, nigdy nie doczekam się tego pudelecza i do brze by było wyciepać kajniebądź za płot, w pokrzywy, choćby z połowę tego lekarstwa. Przecież matula nie rachowała tych to pigulek, to i wiedziała nie będzie...

Ale jakżeż tu wyciepać za płot, w pokrzywy, takie drogie lekarstwo?

— Nie, nie! Nie można!

Sumienie nie pozwalało.

— To może dam je psu do wyłykania, albo sama wyłykam. Nie zmarnują się...

A tu Zuziuchna, cała obśliniona po obwarzanku, przyglądała się siostrze z rozdziawioną gębą.

— Dawaj ciutielta — wyciągnęła łapę.

Palec Boży. Od razu wszystko stało się jasne.

— Dla Zuzi są przeznaczone, no to niechaj je sama wyłyka. Jej pójdą na zdrowie, a mnie na pożytek...

I podała dziecku sporą garstkę pigulek.

— Naści! Łykaj, a nie gryź! Łykaj, a nie gryź...

A Zuzi w to graj. Aby jeno miała co wetkać do brzucha, to i dobrze.

Łyka i łyka, łyka i łyka, a jak już wyły-

kała więcej niż połowę, to Karolcia zamknęła pudeleczo i powiada:

— Na dzisiaj będzie dosyć...

A Zuzia w bek.

— Dawaj, dawaj — drze się jak opętana, więc trzeba było jeszcze raz pudeleczo otworzyć i wyjąć zeń kilka pigulek na zatkanie gęby tej krzykaczki.

— Ale teraz, to żebyś się na polu ozdaria, to więcej nie dostaniesz. I tak za dużo ci wydzieliłam. Matula mogła coś pomiarkować...

Ale traf tu Zuzi do rozumu. Sinieje na gębie jak wątroba, białkami do góry przewraca, jęczy tak strasznie jakby ją kto ze skóry obdzierał i wije się po stole w konwulsjach. Dostała klapsa.

— Ty złońco-piekielnico — wrzasnęła na nią Karolcia. — Siedź cicho, bo zbije cię na kwaśne jabłko...

A tu matula wchodzi.

Co było potem, to Karolcia nie lubiła wspominać. Oj dostało się jej, dostało. Nawet tego prześlizgnięcia pudelecza odechciało się jej na dłużej.

Piekło. A od tego krzyku, a płaczu, a lamentu, to jaże całuchna wieś zbiegła się do chaty.

A kuźden co jeńskiego doradzał. A gdy ani okadzanie, ani pijawki, ani potrząchania, ani okłady z pokrzywy Zuzi nie pomogły, matka chwyciła konające dziecko na ręce i pobiegła w pole do tatula.

No i tatulo musiał wyprzągać kobyłę od pluga, zakładać na wielki gwałt do wozu i oboje — wraz z tą przeklętą Zuziuchną — powlekli się po nocy do szpitala.

— Mościewy — skarżyła się potem matula przed kumoszka. — I kłoby taką rzecz pomyślał? Te wszystkie doktory, to już chyba za grosz sumienia nie mają. Niby to dawają człowiekowi lekarstwo od zdrowia i jeszcze każą drogo za nie zapłacić. A takie tam uno od zdrowia. Ledwie me dziecko odratowały w szpitalu po tych to pigułkach...



JUŻ NIEKOCHANA ANNA

To co mnie łączyło z Anną musiało się prędzej czy później skończyć. Właśnie prędzej czy później. To jej wyrażenie. Nie było żadnego powodu, niczego, co dałoby się ująć w formę twardą i jasną. Ale ta mglistość kształtu, spowodowała to, że nasze wspólne współzycie stało się na dłużej niemożliwe. Mglistość kształtu powodów...

I musiało się to wszystko skończyć. Myśle, że i dla niej nie było to bardzo bolesne. Ja? Figura nieciekawa. Ona? — był czas, że była ciekawa. Było tak dawniej. (Obrzydliwe dawniej zakochanych, brak jeszcze nieśmiertelnego: pamiętasz...).

Ale zakończyć? Postanowić — łatwo. Powiedzieć sobie — ciężiej. Powiedzieć jej, o której się nawet wie, że nie kocha — to prawdziwa sztuka. Sztuka dla sztuki życia... Tak łatwo utracić spokój.

Wyjechałam. Nie miałam odwagi, aby o tym mówić wprost. Bo powiedzieć komuś, że wszystko się skończyło, wypowiedzieć tych kilka słów, które dają życie nowemu życiu i kończą (zabijają) dawne... Odpowiedzialność i czy nie zabójstwo rzeczy, które dla człowieka mają znaczenie największe?

Małe miasteczko. Kilka ulic, rynek i ratusz z dużym — dwudziesty wiek — elektrycznym zegarem. Dalej wzgórze, o tej porze roku najwinnie zazielenione i wesole. Anny nie ma. Ale Anna jest tam i czeka. W wielkim mieście o tysiącu ulic. Niezłotych i głośniejszych. I tyle tam jest zegarów. Może ona na każdym z nich liczy czas — może ona mnie jeszcze kocha? Tyle zegarów...

Wieczory są takie długie... Przez otwarte okna wieczorem przedziera się rehot żabi. Daleki i niewyraźny... Przypominają się w mieście zapomniane sonety: „Od stawu idzie rehot żabi...”. Czyje? Pewnie Zawistowska. Tak często słyszałam to od Anny. Od stawu idzie rehot żabi... Ja go słyszę. Ona w dalekim mieście słyszy ulicę. Przytłumioną a jednak świszczącą dzwonki elektrycznej kolei — motto — tem: sepieniący szept. Kiedy patrzy przez otwarte okno — ona — oparta o czerniejącą w mroku pudło fortepianu i... Może myśli o mnie. O mnie, który w dalekim miasteczku chce uspokoić nerwy... Przecież od stawu idzie rehot żabi...

Lepiej zamknę okno. Napiszę do niej jutro. Za dnia...

Tylko czy w czterech ulicach miasteczka uda mi się zapomnieć to wszystko co nas — jednak — łączy i przypomnieć to wszystko

co jednak dzieli. Mgławicowość kształtu pod elektrycznym zegarem...?

Księżyc jest promiennie błady... I jeden krok tylko abym napisał, że: marzenia są wszędzie te same...

Kiedy patrzę przez otwarte okno — ja — i patrzę na wzgórze, które nie są zielone w świetle księżyca, oparty o stare zaplamione biurko moich gospodarzy. Plam nie wiadać. Znikają w cieniu. Plamy na biurku i na słońcu Anny. W księżycowym cieniu...

Rano... Żaby już dawno ucichły. Wychodzę centralną ulicą miasta — pod ścianami naprawdę zielone drzewka — a potem brzegiem rzeki. Rzek tu nie brak. Trzy. Wszystkie małe, spokojne, i czasem dziwię się, że zarząd miasta nie ustawił nad nimi elektrycznych zegarów. Warte tego bardziej, niż cztery ulice miasta i rynek...

Spokój. Mało ruchliwa woda nie ma odwagi zbyt głośno szeleścić. Na wysokiej trawie rosa. Ślady moich stóp znaczą szeroką, matową brudę. Myślę o Annie. Ale już teraz... spokojniej. Światło słońca działa uspokajająco. W zawieszonych w powietrzu kropkach rosy jest dużo słońca. Anna...

Co nas dzieli? Wiem, że w jej życiu był Stefan. Czym? Kochankiem? Ale o tym wiedziałem i przedtem. Ale Stefan już nie wróci. Nigdy. I mimo to było nam dobrze. Nie unikaliśmy jego imienia w naszych rozmowach. Był i moim przyjacielem.

Nad brzegiem rzeki gęste zarośla. W myślach też nieład. Czyżby słońce zgasiło za chmurami. Niebo było tak niebieskie... Nie. Już znowu świeci. Więc nie Stefan.

Musiałem zdobywać jej usta. Tego nie lubię... A kiedy chciałem odejść... Ręka moja za długo spoczywała w jej ręce. Potem było to już niemożliwe. Więc ona nie chciała abym odszedł. Czy raziłaby ją twardość zerwania? A teraz leczę nerwy...

A teraz trzeba jej to jakoś powiedzieć. Nie wiem czy mnie kocha. Ona jest przecież prawdziwą kobietą. A ja gdybym miał pewność, że tak jest, czy myślałbym o niej więcej?

Jak to powiedzieć, jak napisać. Napisać i być dobrze zrozumianym. Słowa tak często można źle zrozumieć. Inaczej, opacznie. A miłość i jej... pogrzeb — chyba nie mieszczą się w słowach.

Teraz obok rzeki jest płaska, równa łąka. Pachnie.

Czyżby Janek? Ale to był u mnie niepokój posiadacza. Pytałem się.

Odpowiedziała: „nie”. Mglistość kształtu na zielonej łące... Miasteczko jest daleko. Jeszcze dalej jest miasto Anny. Wielkie miasto o setkach zegarów i setkach ulic.

Może teraz jest u niej. Janek. Rybie, przeryzste oczy. Tak określił go Andrzej. Czy on też był kochankiem? Czy dla niego bro-

niła mi swoich ust i czy to wszystko... zaszłość?

Śmieszne. Zaszłość o niekochaną kobietę...

Bo Anna jest daleko, w mieście o tysiącach ulic i setkach zegarów... Pod moimi nogami zaczyna się jakaś droga. Z niczego. Tu jest jej początek a może właśnie tak daleko zdolała dojść? Ale teraz już rozumiem. Jestem przy kopalniach gliny. Opodał — fabryka garnków. Wśród nich, tych które jeszcze nie błyszczą w migotliwym słońcu a czernieją chropawą powierzchnią, starczy, matowy głos:

— Moze, panocku, mocie ognia do fajki? Zgasła.

— Jest. Czy i wy tu dziadku lepicie garczki, gliniane cuda?

— He? E, nie. Tero, to już nie. Ale bywało... Krenilo sie kółko i lepiły sie gorki. Piekie gorki — czerwone i inse. Tak... beło. Glinem-se cornom na kolo usadzieli... — ręce starca wykonują bezwiednie ruch tworzenia — potem gorceki dzwienoć. Piekie. Ale jo już tero stary gorceki. Niezdany, podrutowany i do niego. Tyle co ich teroz od słońca bronie. I cy jo ta jesce długo na tym świecie? I tak se casem myślę: pewnie te moje gorki jesce som u ludzi a mnie już nie bedzie. Ale jo se tak godom a faja mi zgasiła, z gliny faja — zapikanka. Mocie panocke jesce jednego patycka?

— Jest.

Starce ręce drżą. Kciuk prawej zdeformowany, płaski. Na moje pytające spojrzenie, odpowiedź:

— Dziwicie sie panocku, niby ze taki płaski? A to dlatego, by święty Pieter poznał, zem na ziemi gorcki lepił — nikły uśmiech zwiedłych ust ginie za chmurą dymu z fajki, która sie już teroz pol...

Uśmiech starego, podrutowanego człowieka jest w zgodzie z całym światem. Słonecznym i zielonym.

A Anna?

I ja młody, podrutowany trup. Nerwy... I co ze mnie jest u ludzi... A kiedy mnie już nie będzie? Stefan nie wróci. Ale Jan może wrócić. Anno, ja musiałem odejść. Janek, — — — czy był twoim kochankiem?

Odpowiedzi nie ma. Przecież ja tylko pomyślałem. Pytania nikt usłyszeć nie mógł. Nawet Anna.

Czasem godziny nocy są tak długie. Nieprzespane godziny. Pod powiekami czuje się piasek. Ale to tylko oczy i nocą... A kiedy dusza podrutowana zardzewiałym, kolczastym drutem... Dusza, albo to w nas, co czuje... Czuty instrument. Działa nawet w słońcu...

Znowu droga, która — teraz wiem — tu się kończy. Rzeka pod słońce złota i ciepła.

Nad rozgrzanym piaskiem drży powietrze. Do domu daleko. Anna dostanie list. Słowa, długo pieszczone w myślach słowa, pisać łatwiej. Słowa miłości...

Rynek. Zegar wybija jedenastą. Elektryczny zegar.

Czy Anna kocha mnie tak, jak ja ją?

Jestem znowu nad rzeką. Garczki suszą się w słońcu, ale nie pilnuje ich nikt. Zapalki — dziś niepotrzebne nikomu. Widać stary garnacz dobrze wiedział, że już niedługo na tym świecie...

Tylko garczki zostały. Ja też.

Byłem w wielkim mieście Anny.

Długo czekałem odpowiedzi na mój list. Długo czekałem... Nocami rehotyły żaby, dniem świeciło słońce.

Kiedy przyszedłem do niej — fortepian czerniał w mroku — odpowiedziała, że Jan był jej kochankiem... I że wrócił.

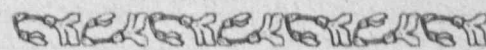
— Panocku, jo se godom a faja mi zgasiła...

Nie. To tylko złudzenie. Jedno więcej. Przy garczkach nie ma nikogo przecież. Coś błyszczący. Czyżby matowe dawniej garnki?

To lzy...

I to nie jest złudzeniem...

Kwiatkowski Zbigniew



TYLKO TRWAŁO

Czas wsparł się na filarach godzin, wstrzymał się i nie mknął — ale zachodzi...

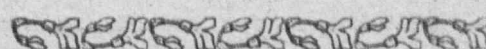
Kędyś popłatane roje myśli
błądzą wśród śmieci:
te — smutki godzin
te — martwe dni.

Życie w nas tętni —

Chciałoby się wybiec na ulicę
a potem w świat.
Serce śmiechem rozkrzyczec
i uśmiech innym dać.

Chciałoby się wiele, wiele,
a trzeba tylko trwać...

Kuciel Leon



Samolot w walce z szkodnikiem leśnym

Dokończenie ze strony 6-tej

odwieczne prawo istnienia. Tym prawem ograniczony jest nadmierny rozrost pewnego gatunku.

Las, knieja czy puszcza, ze swymi mieszkancami i swiatem roslinnym stanowią odrębny krąg skomplikowanej wzajemnej zależności. Równowaga tam również panująca może jednak zostać łatwo zakłóconą przez niebaczne zakładanie wielkich kultur drzewnych o jednakowym wyłącznie rodzaju drzewostanu. Następstwa takiego przeciwnego naturze stanu rzeczy nie dadzą długo zwykłe na siebie czekać. Bywały ongiś katastrofy na tym właśnie tle i to katastrofy poważne pod licznymi względami. Pożary lasów, zarazy grzybów, nagły rozrost pewnych owadów, choroby drzew — to wszystko w krótkim stosunkowo czasie kładło na obie lopatki usiłowania niekiedy lat całych.

Najgroźniejszym ze szkodników lasów szpilkowych jest gąsienica owadu zwanego osnują (Lyda stellata).

Ona to w czasie żerowania na szpilkach sosnowych sprawia zniszczenie i ogolnienie z igliwia lasów, ale gdy z końcem lipca opadnie na ziemię by wegetować w poszyciu całe 3 lata — wtedy jako poczwarka tak długi czas nie tknie ani miligram jakiegokolwiek pożywki. Zaiste, bardzo osobiwe ma obyczaje osnują! Gdy jeszcze znajduje się na gałęziach, nie sposób odróżnić ją od otoczenia — dostosowuje się bowiem barwą zieloną do koloru szpilek sosnowych, a tym sposobem uchodzi ptakom chętnie na nią polującym. Gdy ma zacząć pędzić żywot w poszyciu lasu — znowu upodabnia się do brudno-żółtawego tła swego przyszłego podłoża i dopiero wówczas opuszcza szpilkowie.

Co za wspaniały przykład stosowania barw ochronnych w przyrodzie!

Dawno powzięto plany zajadłego zwalczania masowo rozmnożonych w pewnych lasach szkodników leśnych. Szukano ku temu celowi najodpowiedniejszych i najracjonalniejszych sposobów — a w Krakowskim Zakładzie Doświadczalnym Leśnym liczne badania entomologiczne doprowadziły do wyhodowania specjalnego pasożyta, składającego swe jajka w ciele gąsienic osnują.

I może by tym sposobem zdołano wyniszczyć osnuję, co — kiedy osnują samorzutnie opancerzała twardą wydzieliną wewnętrzną złożoną w jej ciele zarodki — a zatem na drodze biologicznej zniszczyć się nie dawała.

Pomyślano tedy o stosowaniu metody trucia osnuji.

Najodpowiedniejszym w tym względzie okazał się ostatecznie samolot. Metoda ta nie jest już nową. W roku 1912 patent w tej dziedzinie pozyskał niemiecki nadleśniczy Zimmermann, później w szerokim świecie zaczęto stosować z dobrymi wynikami ów „wynalazek”.

Prawie 100% gąsienic niszczało radykalnie w krótkim czasie na skutek takich zabiegów — bo i typy używanych do podobnych zadań samolotów z biegiem czasu obmyślono i truciźnie odpowiednio spreparowano w niszczącym działaniu. Przede wszystkim działanie preparatu trującego musiało się ograniczać tylko do osnuji bez dalszych szkodliwych wpływów dla innych istot żywych. Praktycznie rzecz biorąc, trucizna jest nieszkodliwa dla stworzeń ciepłokrwistych. Dwojaki system zadawania truciźny za pomocą samolotów można stosować w zwalczaniu osnuji.

Albo samolot, lecący tuż nad wierzchołkami drzew rozpyla niby delikatny deszcz truciźny ze zbiornika, albo — obecnie stoso-

waną metodą — spowija szczyty drzew w trującą chmurę gazową. Czynniki też próby z „zagazowaniem” chmurą trującą całych obszarów leśnych. Czynniki też samolot kładący w niskim locie nad samymi drzewami smugę trującej mgły obok smugi.

Takim sposobem lotnictwo przychodzi z wydajną pomocą leśnictwu na olbrzymich niekiedy przestrzeniach tysięcy hektarów zagrożonych przez osnuję. Troska zaś o las i jego przyszły stan powinna być naczelnym problemem w gospodarce leśnej — bowiem małe nawet zaniedbanie spowodować może trudne do usunięcia następstwa a zniszczony drzewostan stanowi jakże poważne pozycję w ogólnej sumie szkód danego kraju.

PRZYGODA NA PODHALU

Pewnego razu wybrał się Pan Jezus ze świętym Piotrem i sługą swoim Judaszem, aby zwiedzić Podhale i przyjrzeć się bliżej życiu tamtejszych górali.

Kolei wtenczas jeszcze nie było, więc wędrowali piechotą. Kiedy zdążyli do Witowa pod Chocholowem, był już wieczór i należało pomyśleć o noclegu. Święty Piotr, jako mniej wymagający, wypatrywał jakiegokolwiek starej, niskiej chaty, gdzie to i serca są lepsze i gościnniejsze i kąt przytulniejszy. Judasz natomiast rozglądał się za bogatszym domostwem, kędy mógłby wygodniej przespać się i dobrze pożywić.

Wreszcie znaleźli jakąś większą zagrodę. Gazda widząc jednak strudzonych i ubogich pielgrzymów, kazał im przenocować w stodo-
Cóż było robić? Bez słówka sprzeciwu

udali się na spoczynek na wskazane miejsce. Pan Jezus położył się pośrodku swoich uczniów, Piotr święty legł od ściany, Judasz zaś, niezadowolony trochę ułożył się skrają.

Wczas rano przyszedł gospodarz młocić owies na boisku, a widząc śpiących jeszcze podróżnych, pado do swego pacholka:

— Przylós tes ta cepe temu hawok skraja, niek wstaje! — co też pacholczyśko zaraz uczyniło Judaszowi, bo leżał najbliżej stojących.

Gdy na chwilę tamci wyszli, przebiegły Judasz rzecze szeptem do św. Piotra:

— Legaj na moje miejsce! Już drugi raz skraja nie uderzy, a mnie tam będzie lepiej pod ścianą, bom do cna obity i obolaty!...

To mówiąc, dźwignął się i postekując, wsunął się od ściany, zaś święty Piotr zajął jego miejsce. A że byli bardzo utrudzeni drogą i znużeni, rychło zasnęli znowu.

Tymczasem gazda wrócił i widząc śpiących wciąż jeszcze pielgrzymów, powiada gniewnie do swego parobka:

— Je rżnijze i tego tam, pod ścianom, by mu krzywdy nie belol!...

A parobek, jak parobek, uczynił tak, jak pan jego kazał: to jest zdział znowu Judasza, lecz tym razem pod ścianą, bo się tam przelegnął!...

Zgniewało to okrutnie rudego Apostoła z Iskariotu, zerwał się na równe nogi i o mało że nie przyszło do bitki z gazdą, gdyby nie Boski Mistrz, który zlagodził sprawę i kazał zbierać się czym prędzej w drogę do Chocholowa, gdzie właśnie miał być odpust.

E. Klon.

Dr. R. TCHÓRZNIKI
Weneryczne i skór.
Warszawa
Warszalkowska 95 m. 22
telefon 74-555
godz. 12-14-30 i 16-19

Dr. med. NOWAKOWSKI
Weneryczne, skór.
Warszawa,
Wspólna 3 m. 3.

Dr. med. H. MOŚCICKI
Chir. zylaki, hemoroidy
Warszawa,
Koszykowa 49
godz. 9-11 i 4-7

Dr. P. ZALESKI
Weneryczne, skór.
Warszawa, Alberta 3
(przy pl. Teatralnym)
Tel. 211-74
godz. 3-7

Dr. M. BIEŻNACKA choroby włosów,
skóry, kosmetyka lekarska.
Warszawa, Szopena 8, q. 1-6



Czystość w kuchni i domu...
jest niezbędną dla zdrowia całej rodziny. Dziś, kiedy nie można zmarnować żadnej godziny pracy, musi i plaga much zniknąć, ponieważ zagraża zdrowiu! Dlatego trzeba muchy wylepić radykalnie, szybko i niezawodnie: za pomocą HeRa-Fliegenlack! (lak na muchy) HeRa-Fliegenlack nie jest lepem na muchy, jest niewidocznym w użyciu i bezwonym. HeRa lepi również mrówki, osy i inne robactwo. Do nabycia w aptekach i drogeriach.

HeRa-Fliegenlack
CHEMISCHE FABRIK WIESBADEN

Dr. med. S. ŚWIĄTECKI
Wenerycz. - skór.
Warszawa
Mazowiecka 11 m 5
tel. 274-99

Lekarz dentysta JANINA JEŻEWSKA
Warszawa
Nowogrodzka 31
l. p. front
tel. 746-76

Akuszanka M. WÓJCIK
Warszawa
Złota 8 m 6
tel. 64-824

Akuszanka ANTOSZEWSKA
przyjmuje cały dzień
Warszawa,
Złota 40 m. 30
tel. 672-90

HALLO! prowadzę księgi
przedsiębiorstw
handlowych, sporządzam bilansy
i załatwiam wszelkie sprawy podatkowe.
KRAKÓW, DŁUGA 15/8

POKOŻNA
R. Prusinowska, Warszawa, Nowogrodzka 31, m. 20, front, róg
Marszałkowskiej, telefon 950-75.
Przyjmuje obecnie cały dzień.

SUCHARY DLA PSÓW
Szczeniąt, oraz suk szczennych
(Odżywcze i lecznicze)
poleca: **DROGERIA A. BRUDNICKIEGO** Warszawa, Krucza 34

DO SZKOŁY HANDLOWEJ
przygotowuję. Egzamin. Korepetycje. Arytmetyka. Stenografia. Księgowość. Niemiecki. Dozwolone.
Warszawa, Senatorska 22, m. 24.

Dr. med. J. EHRENKREUTZ
skórne i weneryczne
Warszawa, Nowy-Swiat 37 m. 11

W domu obok codziennych zajęć odpowiadając na pytania można przerobić Szkołę Handlową i otrzymać świadectwo ukończenia o pełnych prawach. Zapisy przyjmuje i prospekty wysyła: Sekretariat Korespondencyjnej Szkoły Handlowej przy Publ. Kup. Zawodowej Szkole w Reichshof, Hoffmanowej 3.

KOMIS
GRODZKA 59
Ubrania
Płaszczki
Patefony
Dywan
Kryształ
Płyty
Lisy
Futra

KURZY MÓRI!

Epokowy wynalazek do niezawodnego zwalczania zarazy. Licencje do oddania na poszczególne powiaty.

Wiadomość: Kraków — Oboźna 14, Tel. Nr 117-84.

Pracownia o artystycznym poziomie

»PRO-ARTE«

MIECZYSLAW RYŚ
KRAKÓW, FLORIAŃSKA 15

Kupujemy stale za gotówkę i płacimy najwyższe ceny za ubrania, płaszcze letnie damskie i męskie, kostiumy, sukienki, dywany, kilimy, bieliznę stołową, pościelową i osobistą, maszyny do pisania, leżenie, szyje oraz sprzedajemy po cenach naprawdę okazujących Sklep Używanych Rzeczy Kraków, Krakowska 36

Tanio sprzedajemy

wszelką garderobę, futra, lisy srebrne, niebieskie peleryny, blamy, pościel, bieliznę, dywany, kilimy, chodniki, linoleum, obrazy, walizki, leżaki, maszyny „Singer”, maszyny pisarskie, patefony walizkowe, elektryczne, płyty, nakrycia stołowe, przedmioty ze srebra, plasterowe, porcelanę, szkło, kryształ, fotoaparaty, przedmioty domowego użytku. Duży wybór okolicznościowych praktycznych upominków

„Centrokomis”
Kraków, Grodzka 9

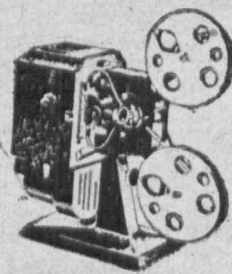


DARMOL
NAJLEPIEJ PRZECZYSZCZA

ZIOLA

umiejętnie dobrane są głównym środkiem leczniczym
X-I usuwają łupież, powodują bujny porost włosów
X-II usuwają pryszcze, plamy, dają piękną cerę
X-III leczą choroby piersiowe
X-IV leczą cierpienia nerwowe
X-V leczą choroby żołądka i kiszek
X-VI leczą cierpienia wątroby
X-VII leczą hemoroidy
X-VIII leczą choroby dróg moczowych
X-IX leczą cierpienia reumatyczne
X-X leczą choroby robacze
X-XI leczą otyłość
X-XII leczą choroby kobiece. Pracownia analityczna na miejscu. — Informacje wysyłamy. Sprzedaż tylko na zamówienie po 120.—

GABINET ZIELARSKI
PROF. A. KAMIŃSKIEGO
Częstochowa, Krakowska Nr. 31.



Filmy i Kino aparaty wąskotaśmowe

8-16 mm. oraz wszelki sprzęt kinowy
SPRZEDAŻ — ZAMIANA — KUPNO

„Marco”

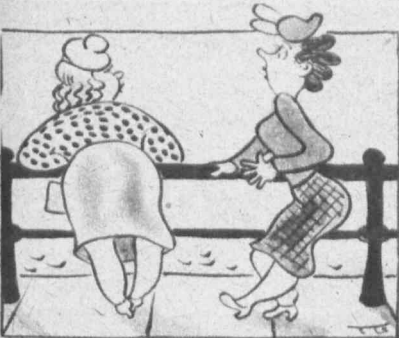
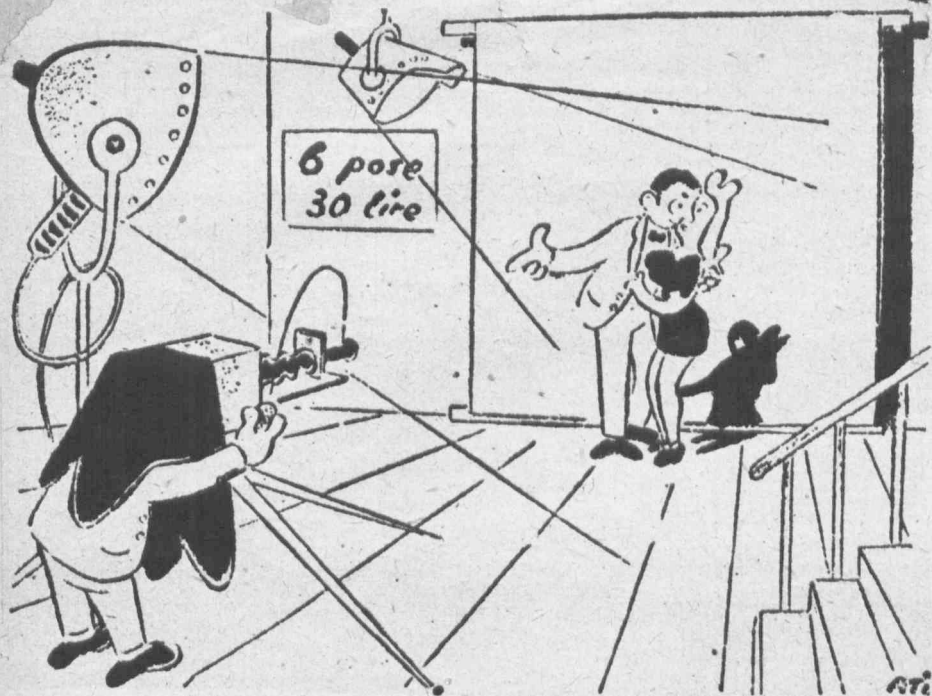
WARSZAWA, PL. TRZECH KRZYŻY 13
T E L E F O N 857-40



Nie zwlekajcie!

Pospiesz się, kup jeszcze dziś los w Lottokolekturze, gdzie Cię może szczęście czeka! Ciągnięcia odbywają się dwa razy w tygodniu. Za 1 Zł. można wygrać 3.600 Zł! Im większa stawka, tym wyższa wygrana!

Informacje i przyjmowanie stawek w każdej LOTTOKOLEKTURZE
Lottokolektury znajdują się we wszystkich większych miejscowościach Gen. Gubernatorstwa



Powiesz:
— Predko, kochanie, po-
całuj mnie! On się teraz
nie patrzy.

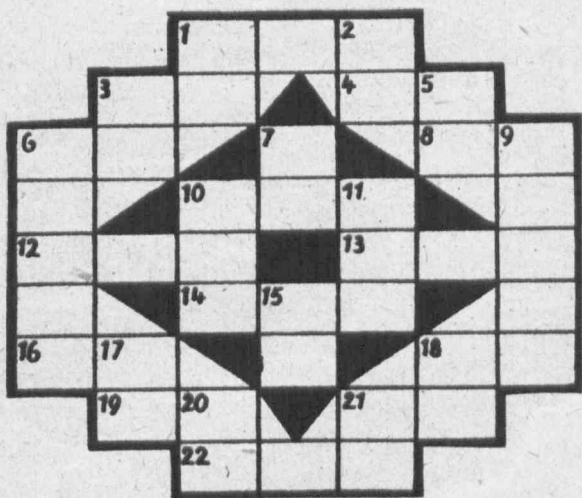
Die Woche

Na lewo:
— Gdzie cie pocało-
wał twój pierwszy przy-
jaciel?
— Śmieszne pytanie:
oczywiście, że w usta.

Die Woche

ROZRYWKI UMYŚLOWE

KRZYŻÓWKA SYLABOWA
ukł. Nemo



W kratki wpisać wyrazy o następującym zna-
czeniu:

Poziomo: 1. prawy dopływ Obi w Syberii
Zachodniej, 3. litera fonetyczna, 4. miara po-
wierzchni, 6. on w języku obcym, 8. symbol che-
miczny pierwiastka aktywności, 10. gatunek węży, 12.
okres dziejowy, 13. inaczej las, 14. ekonomista
i polityk (b. prezydent miasta Krakowa), 16. zaimek,
18. stopień gamy C, 19. symbol chemiczny pier-
wiastka manganu, 22. prawy dopływ Dunaju
w Szwajcarii.

Pionowo: 1. zaimek, 2. bóstwo egipskie, sym-
bol zwycięstwa ładu nad zamętem, 3. symbol che-
miczny pierwiastka kryptonu, 5. symbol chemiczny
pierwiastka radu, 6. wrażenie, skutek, 7. pytanie,
9. w mitol. greckiej czarodziejka na wyspie Ajaja,
10. zabawa taneczna, 11. miasto w Finlandii nad
zatoką Botnicką (uniwersytet fiński), 15. litera fone-
tycznie, 17. jednostka oporu elektrycznego, 18. skrót
Republique Francais, 20. symbol chemiczny pier-
wiastka niklu, 21. zaimek.

SKRZYNIA Z KULAMI

— Najbardziej podobała mi się historia z dwoma
zbójnikami — opowiadał młodzieńcy kinoman z en-
tuzjazmem, swym kolegom. — Bandyty napadli na
młodego farmera Edwarda i uprowadzili z sobą.
Postawili przed nim skrzynię pełną trocin, wysypali
do niej worek kul ołowianych i wymieszali wszyst-
ko starannie. — „Jeśli w przeciągu 5-ciu minut
wybierzesz wszystkie kule i wysypiesz je do worka,
tak by żadnej nie brakowało, wtedy puścimy cię
wolno. Gdy tego nie zrobisz, utopimy cię w tej
rzece, która płynie obok” — powiedział doń jeden
z bandytów. I wyobraźcie sobie po dwóch minutach
rozwiązał Edward zadanie i odzyskał wolność. Jak
tego dokazał?

— Spotkałem ludzi, którzy całują
papugi.
— Ależ to nierozsądnie!
— Dlaczego?
— Gdyż papugi przenoszą zakaźne
choroby.
Ktoś trzeci wmszał się do tej roz-
mowy:
— U mnie w rodzinie był taki wy-
padek.
— Naprawdę?
— Moja ciotka miała śliczną papu-
gę, którą strasznie kochała. Pewnego
razu w czasie rozmowy ze swą ulubie-
nicą pocałowała ją w dziub. Nastę-
pnego dnia ...
— ... pewnie zmarła twoja ciotka?
— Nie ciotka, ale papuga.

Mała Zosia pyta matkę:
— Mamusiu, powiedz jak dawno je-
steśmy już małżeństwem?
— Ależ, dziecko, przecież ty nie je-
steś mężatką, myślisz chyba o mnie
i o tatusiu.
— Nje, o sobie też, bo ciocia kiedyś
powiedziała, że ja byłam głównym po-
wodem waszego małżeństwa.

ANECDOTY

WIELE MÓWIĄCA PROPOZYCJA

W czasie pokazu sprawności wojska w dniu święta pułko-
wego stoi wśród tłumu publiczności piękna, młoda dziewczyna.
Nagle rozlega się salwa karabinowa jakiegoś oddziału
piechoty. Przerażona cofa się dziewczyna w tył, prosto w ra-
miona jakiegoś młodzieńca.
— Przepraszam pana, tak się przestraszyłam — tłumaczy
się z rumieńcem zawstydzenia na twarzy.
— Ależ nic nie szkodzi — odpowiada grzeczny młodzie-
niec. — Możemybyśmy jednak stąd poszli na drugie podwórze.
Tam ćwiczy ciężka artyleria przeciwlotnicza.

NA DRUGIM KOŃCU

Mała Isia przybiega z ogródka do swojego ojca z rzod-
kiewką własnego chowu w ręku.
— Popatrz się, tatusiu, ja to sama wyciągnęłam!
— Niemożliwe! A czy bardzo ciężko było?
— Naturalnie! Przecież na drugim końcu wisiała cała
ziemia!

POMOCNIK

Czteroletni Jaś opowiada swojej cioci, że pomaga swoje-
mu ojcu przy rąbaniu drzewa. Ciotka zdumiona pyta:
— Co, ty malczu już pracujesz tak ciężko? Czy w ogóle
możesz utrzymać w ręku siekiere?
— Nie, tego to nie potrafię. Ja tylko pluje tatusiowi w rękę,
gdy ma za śliskie.

DOWCIPNA GOSPODYNIA

Słynny astronom Eneke bawił jednego dnia w towarzystwie
uczonych w pewnej restauracji. Po smacznym obiedzie po-
prosił do siebie gospodynię lokalu.
— Szanowna pani — zwrócił się do niej — jestem przeko-
nany, że pani się nie zna na astronomii. Proszę więc uważać.
Dam pani małą lekcję astronomii. Istnieje t. zw. rok plato-
niczny, w którym powtarza się wszystko dokładnie co 26 ty-
sięcy lat. A więc po 26 tysiącach lat będziemy znowu wszy-
scy jak tu jesteśmy i będziemy jeść smaczny obiad u pani,
a pani jak dzisiaj będzie nas podejmowała. Czy może pani
do tego dnia zacząć na uregulowanie rachunku?
— Ależ chętnie — odpowiedziała gospodyni. — Już panom
skredytowałam jeden rachunek. Dzisiaj właśnie upłynęło
26 tysięcy lat, jak panowie ostatnio u mnie gościli. Za ten
ostatni dzień winni mi panowie zapłatę. Proszę więc wyrów-
nać poprzedni rachunek, a dzisiejszy skredytuję wam chętnie
na dalszych 26 tysięcy lat.
Uczony roześmiał się. Zapłacił rachunek ze słowami:
— Jestem pani prawdziwie zobowiązany, że pani nie po-
liczyła mi procentu za zwłokę.

WYSTARCZAJĄCA DOZA

Profesor Virchow, sławny patolog, znany był z tego, że
przy egzaminach peszy kandydatów złośliwymi przycin-
kami. Przy egzaminie z „interny” dał kandydatowi nastę-
pujące pytanie: — „Wezwano pana do pacjenta. Stwierdził pan
u niego kolkę nerkową. Co pan teraz czyni?” — „Dam mu
najpierw morfiny na uśmierzanie bólu.” — „Dobrze — zgo-
dził się Virchow. — Da mu pan morfiny. A jaką dawkę, pa-
nie kolego?” — Kandydat zawahał się z odpowiedzią. — „Pół
grama, panie profesorze!” — Surowy egzaminator błysnął
szklami binokli: — „Pięć gramów ... no tak. A co pan robi
ze zwłokami, panie kandydacie?”

Słynny chirurg z Lipska Thiersch był przedmiotem ogólnego
podziwu. Zwłaszcza panie nie mogły się nachwalić jego
zręczności. Jedną z pań zapytała go raz pewnego: — Panie
doktorze, ciekawam bardzo, czy pan kiedyś zrobił fałszywe
cięcie?
— Owszem, łaskawa pani, często zdarzało mi się fałszywe
cięcie ... gdy się golilem.

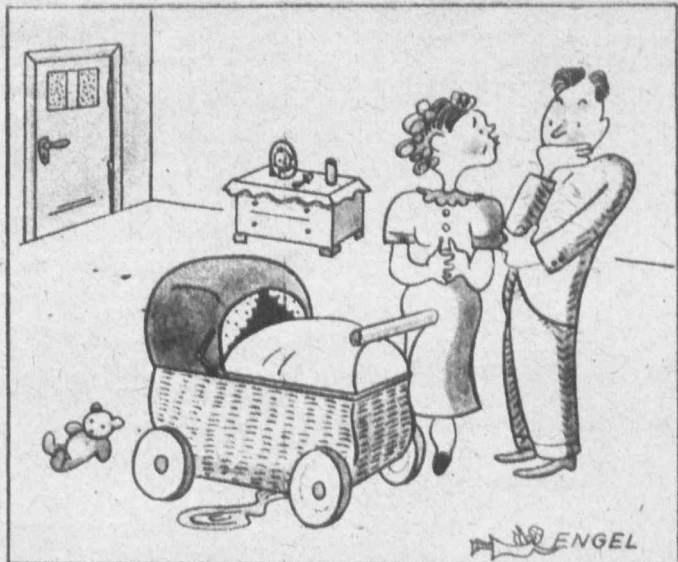


Na prawo:
— Proszę sobie
wyobrazić, że są
ludzie, którzy śpią
w nocy tylko trzy
godziny!
— Hm, mam
takiego w domu,
ma teraz właśnie
cztery miesiące!

Die Grüne Post

Na lewo:
— Jak dawno
już jesteś mężatką,
mamusiu?
— Osiem lat,
moje dziecko!
— A musisz
jeszcze długo?

Die Grüne Post



— Musimy znowu wymienić wózek na inny, ten cieknie!

Die neue Gartenlaube



— Wyobraź sobie Julio, cała flaszką z wódką wylała mi się,
zapewne korek był nieszczelny.

Wiener Illustrierte

— Panie doktorze, czy moje życie było naprawdę w nie-
bezpieczeństwie?
— Tak, proszę pani, przecież ja byłem dwa razy dziennie
przy pani.

Ona: — Wie pan, czym pan jest dla mnie? Powietrzem, po-
 prostu powietrzem.
On: — To znaczy, panno Lolu, że pani beze mnie żyć
nie może.

Proboszcz pewnej wioski był zamilowanym ogrodnikiem.
Raz zaprosił wszystkie dzieci swej wioski na poziomki ze
śmietaną. Pod koniec przyjęcia powiedział do dzieci:
— No, czyż nie jest to lepiej, że jecie jako moi goście
u mnie poziomki, niż gdy wykradacie mi je pokryjomu
z ogródka?
Na to wszystkie dzieci zawołały chórem:
— Tak.
— A może mi teraz powiecie dlaczego? — zapytał pro-
boszcz.
— Ponieważ są pocukrowane i ze śmietaną.

— Mam nadzieję, że nie spóźnię się na pociąg — mówi
ciocia, ubierając się pośpiesznie.
— O, na pewno nie, ciociu — odpowiada na to mały Le-
sio. — Tatusz przesunął zegar o godzinę, skoro tylko zobac-
czył, żeś przyjechała z wizytą do nas, cioteczko!



Samolot w walce z szkodnikiem leśnym

Dokończenie ze strony 6-tej

odwieczne prawo istnienia. Tym prawem ograniczony jest nadmierny rozrost pewnego gatunku.

Las, knieja czy puszcza, ze swymi mieszkancami i swiatem roslinnym stanowią odrębny krąg skomplikowanej wzajemnej zależności. Równowaga tam również panująca może jednak zostać łatwo zakłóconą przez niebaczone zakładanie, wielkich kultur drzewnych o jednakowym wyłącznie rodzaju drzewostanu. Następstwa takiego przeciwnego naturze stanu rzeczy nie dadzą długo zwykłe na siebie czekać. Bywały ongiś katastrofy na tym właśnie tle i to katastrofy poważne pod licznymi względami. Pożary lasów, zarazy grzybów, nagły rozrost pewnych owadów, choroby drzew — to wszystko w krótkim stosunkowo czasie kładło na obie łopatki usiłowania niekiedy lat całych.

Najgroźniejszym ze szkodników lasów szpilkowych jest gąsienica owadu zwanego osnują (Lyda stellata).

Ona to w czasie żerowania na szpilkach sosnowych sprawia zniszczenie i ogolnienie z igliwia lasów, ale gdy z końcem lipca opadnie na ziemię by wegetować w poszyciu całe 3 lata — wtedy jako poczwarka tak długi czas nie tknie ani miligrama jakiegokolwiek pożywki. Zaiste, bardzo osobliwe ma obyczaje osnują! Gdy jeszcze znajduje się na gałęziach, nie sposób odróżnić ją od otoczenia — dostosowuje się bowiem barwą zieloną do koloru szpilek sosnowych, a tym sposobem uchodzi ptakom chętnie na nią polującym. Gdy ma zacząć pędzić żywot w poszyciu lasu — znowu upodabnia się do brudno-żółtawego tła swego przyszłego podłoża i dopiero wówczas opuszcza szpilkowie.

Co za wspaniały przykład stosowania barw ochronnych w przyrodzie!

Dawno powzięto plany zajadłego zwalczania masowo rozmnożonych w pewnych lasach szkodników leśnych. Szukano ku temu celowi najodpowiedniejszych i najracjonalniejszych sposobów — a w Krakowskim Zakładzie Doświadczalnym Leśnym liczne badania entomologiczne doprowadziły do wyhodowania specjalnego pasożyta, składającego swe jajka w ciele gąsienic osnuji.

I może by tym sposobem zdolano wyniszczyć osnuję, co — kiedy osnuja samorzutnie opancerzała twardą wydzieliną wewnętrzną złożoną w jej ciele zarodki — a zatem na drodze biologicznej zniszczyć się nie dawała.

Pomyślano tedy o stosowaniu metody trucia osnuji.

Najodpowiedniejszym w tym względzie okazał się ostatecznie samolot. Metoda ta nie jest już nową. W roku 1912 patent w tej dziedzinie pozyskał niemiecki nadleśniczy Zimmermann, później w szerokim świecie zaczęto stosować z dobrymi wynikami ów „wynałazek”.

Prawie 100% gąsienic niszczało radykalnie w krótkim czasie na skutek takich zabiegów — bo i typy używanych do podobnych zadań samolotów z biegiem czasu obmyślono i truciznę odpowiednio spreparowano w niszczącym działaniu. Przede wszystkim działaniem preparatu trującego musiało się ograniczać tylko do osnuji bez dalszych szkodliwych wpływów dla innych istot żywych. Praktycznie rzecz biorąc, trucizna jest nieszkodliwa dla stworzeń ciepłokrwistych. Dwojaki system zadawania trucizny za pomocą samolotów można stosować w zwalczaniu osnuji.

Albo samolot, lecący tuż nad wierzchołkami drzew rozpyla niby delikatny deszcz truciznę ze zbiornika, albo — obecnie stoso-

waną metodą — spowija szczyty drzew w trującą chmurę gazową. Czyni się też próby z „zagazowaniem” chmurą trującą całych obszarów leśnych. Czyni to też samolot kładąc w niskim locie nad samymi drzewami smugę trującej mgły obok smugi.

Takim sposobem lotnictwo przychodzi z wyjądną pomocą leśnictwu na olbrzymich niekiedy przestrzeniach tysięcy hektarów zagrożonych przez osnuję. Troska zaś o las i jego przyszły stan powinna być naczelnym problemem w gospodarce leśnej — bowiem małe nawet zaniedbanie spowodować może trudne do usunięcia następstwa a zniszczony drzewostan stanowi jakże poważne pozycje w ogólnej sumie szkód danego kraju.

PRZYGODA NA PODHALU

Pewnego razu wybrał się Pan Jezus ze świętym Piotrem i sługą swoim Judaszem, aby zwiedzić Podhale i przyjrzeć się bliżej życiu tamtejszych górali.

Kolei wtenczas jeszcze nie było, więc wędrowali piechotą. Kiedy zdążyli do Witowa pod Chocholowem, był już wieczór i należało pomyśleć o noclegu. Święty Piotr, jako mniej wymagający, wypatrywał jakiejś starej, niskiej chaty, gdzie to i serca są lepsze i gościnniejsze i kąt przytulniejszy. Judasz natomiast rozglądał się za bogatszym domostwem, kędy mógłby wygodniej przespąć się i dobrze pożywić.

Wreszcie znaleźli jakąś większą zagrodę. Gazda widząc jednak strudzonych i ubogich pielgrzymów, kazał im przenocować w stodole. Cóż było robić?! Bez słowa sprzeciwu

udali się na spoczynek na wskazane miejsce. Pan Jezus położył się pośrodku swoich uczniów, Piotr święty leżał od ściany, Judasz zaś, niezadowolony trochę ułożył się skrają.

Wczas rano przyszedł gospodarz mlócić owies na boisku, a widząc śpiących jeszcze podróżnych, pado do swego pacholka:

— Przyłós tes ta cepe temu hawok skraja, niek wstaje! — co też pacholczysko zaraz uczyniło Judaszowi, bo leżał najbliżej stojących.

Gdy na chwilę tamci wyszli, przebiegły Judasz rzecze szeptem do św. Piotra:

— Legaj na moje miejsce! Już drugi raz skraja nie uderzy, a mnie tam będzie lepiej pod ścianą, bom do cna obity i obolały!...

To mówiąc, dzwignął się i postępując, wsunął się od ściany, zaś święty Piotr zajął jego miejsce. A że byli bardzo utrudzeni drogą i znużeni, rychło zasnęli znowu.

Tymczasem gazda wrócił i widząc śpiących wciąż jeszcze pielgrzymów, powiada gniewnie do swego parobka:

— Je rżnijze i tego tam, pod ścianom, by mu krzywdy nie belo!...

A parobek, jak parobek, uczynił tak, jak pan jego kazał: to jest zdzielił znowu Judasza, lecz tym razem pod ścianą, bo się tam przelegnął!...

Zgniewało to okrutnie rudego Apostoła z Iskariotu, zerwał się na równe nogi i o mało że nie przyszło do bitki z gazdą, gdyby nie Boski Mistrz, który zlagodził sprawę i kazał zbierać się czym prędzej w drogę do Chocholowa, gdzie właśnie miał być odpust.

E. Klon.

Dr. R. TCHÓRZNIKI
weneryczne i skór.
Warszawa
Marszałkowska 95 m. 22
telefon 74-555
godz. 12-14 30 i 16-19

Dr. med.
NOWAKOWSKI
Weneryczne, skórne
Warszawa,
Wspólna 3 m. 3.

Dr. med. H. Mościcki
Chir. Żyłki, hemoroidy
Warszawa,
Koszykowa 49
godz. 9-11 i 4-7

Dr. P. ZALESKI
Weneryczne, skórne
WARSZAWA, Alberta 3
(przy pl. Teatralnym)
Tel. 211-74
godz. 3-7

Dr. M. BIEDNAKA choroby włosów,
skóry, kosmetyka lekarska.
Warszawa, Stopana 8, g. 1-6



Czystość w kuchni i domu...
jest niezbędna dla zdrowia całej rodziny. Dziś, kiedy nie można zmarnować żadnej godziny pracy, musi i plaga much zniknąć, ponieważ zagraża zdrowiu! Dlatego trzeba muchę wytępić radykalnie, szybko i niezawodnie: za pomocą HeRa-Fliegenlack! (lek na muchy) HeRa-Fliegenlack nie jest lechem na muchy, jest niewidocznym w użyciu i bezwonym. HeRa lepi również mrówki, osy i inne robactwo. Do nabycia w aptekach i drogeriach.

HeRa-Fliegenlack
CHEMISCHE FABRIK WIESBADEN

Dr. med.
S. ŚWIĄTECKI
Wenerycz. - skórne
Warszawa
Mazowiecka 11 m 5
tel. 274-99

Lekarz dentysta
JANINA JEZEWSKA
Warszawa
Nowogrodzka 31
l. p. front
tel. 746-76

Akuszka
M. WÓJCIK
Warszawa
Złota 8 m 6
tel. 64-824

Akuszka
ANTOSZEWSKA
przyjmuje cały
dzień
Warszawa,
Złota 40 m. 30
tel. 672-90

HALLO! prowadzę księgi
przedsiębiorstw
handlowych, sporządzam bilansy
i zaliczam wszelkie sprawy podatkowe.
KRAKÓW, DŁUGA 15/8

POKOŻNA
R. Prusinowska, Warszawa, Nowogrodzka 31, m. 20, front, róg Marszałkowskiej, telefon 950-75. Przyjmuje obecnie cały dzień.

SUCHARY DLA PSÓW
Szczeniąt, oraz suk szczeniuch (Odżywce i lecznicze)
poleca: **DROGERIA A. BRUDNICKIEGO** Warszawa, Krucza 34

DO SZKOŁY HANDLOWEJ przygotowuję. Egzamin. Korepetycje. Arytmetyka. Stenografia. Księgowość. Niemiecki. Dozwolone.
Warszawa, Senatorska 22, m. 24.

Dr. med. J. EHRENKREUTZ
skórne i weneryczne
Warszawa, Nowy-Swiat 37 m. 11

W domu obok codziennych zajęć odpowiadając na pytania można przerobić Szkołę Handlową i otrzymać świadectwo ukończenia o pełnych prawach. Zapisy przyjmuje i prospekt wysyła: Sekretariat Korespondencyjnej Szkoły Handlowej przy Publ. Kup. Zawodowej Szkole w Reichshof, Hoffmanowej 3.

KOMIS
GRODZKA 59
Ubrania
Płaszczki
Patefony
Dywany
Kryształy
Płyty
Lisy
Futra

KURZY MÓRI

Epokowy wynalazek do niezawodnego zwalczania zarazy. Licencje do oddania na poszczególne powiaty.
Wiadomość: **Kraków — Oboźna 14, Tel. Nr 117-84.**

Pracownia o artystycznym poziomie

»PRO-ARTE«
MIECZYSLAW RYŚ
KRAKÓW, FLORIAŃSKA 15

Kupujemy stale za gotówkę i płacimy najwyższe ceny za ubrania, płaszcze, letnie damskie i męskie, kostiumy, sukienki, dywany, kilimy, bieliznę stołową, pościelową i osobistą, maszyny do pisania, leżenie, szyje oraz sprzedajemy po cenach naprawdę okazujących
Sklep Używanych Rzeczy
Kraków, Krakowska 36

Tanio sprzedajemy

wszelką garderobę, futra, lisy srebrne, niebieskie pelerynki, blamy, pościel, bieliznę, dywany, kilimy, chodniki, linoleum, obrazy, walizki, łeczki, maszyny „Singer”, maszyny pisarskie, patefony walizkowe, elektryczne, płyty, nakrycia stołowe, przedmioty ze srebra, plasterowe, porcelanę, szkło, kryształ, fotoaparaty, przedmioty domowego użytku. Duży wybór okolicznościowych praktycznych upominków

„Centrokomis”
Kraków, Grodzka 9

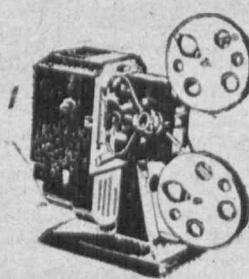


DARMOL
NAJLEPIEJ PRZECZYSZCZA

ZIOŁA

umiejętnie dobrane są głównym środkiem leczniczym
X-I usuwają łupież, powodują bujny porost włosów
X-II usuwają przyszcze, plamy, dają piękną cerę
X-III leczą choroby piersiowe
X-IV leczą cierpienia nerwowe
X-V leczą choroby żołądka i kiszek
X-VI leczą cierpienia wątroby
X-VII leczą hemoroidy
X-VIII leczą choroby dróg moczowych
X-IX leczą cierpienia reumatyczne
X-X leczą choroby robacze
X-XI leczą otyłość
X-XII leczą choroby kobiece.
Pracownia analityczna na miejscu. — Informacje wysyłamy. Sprzedaż tylko na zamówienie po 120.—

GABINET ZIELARSKI
PROF. A. KAMIŃSKIEGO
Częstochowa, Krakowska Nr. 31.



Filmy i Kino aparaty wąskotaśmowe

8-16 mm. oraz wszelki sprzęt kinowy
SPRZEDAŻ — ZAMIANA — KUPNO

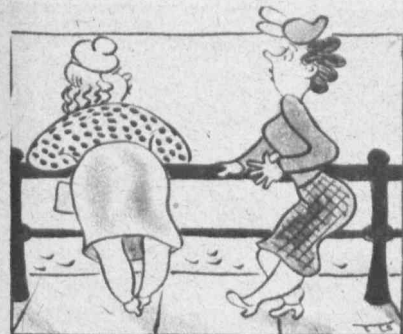
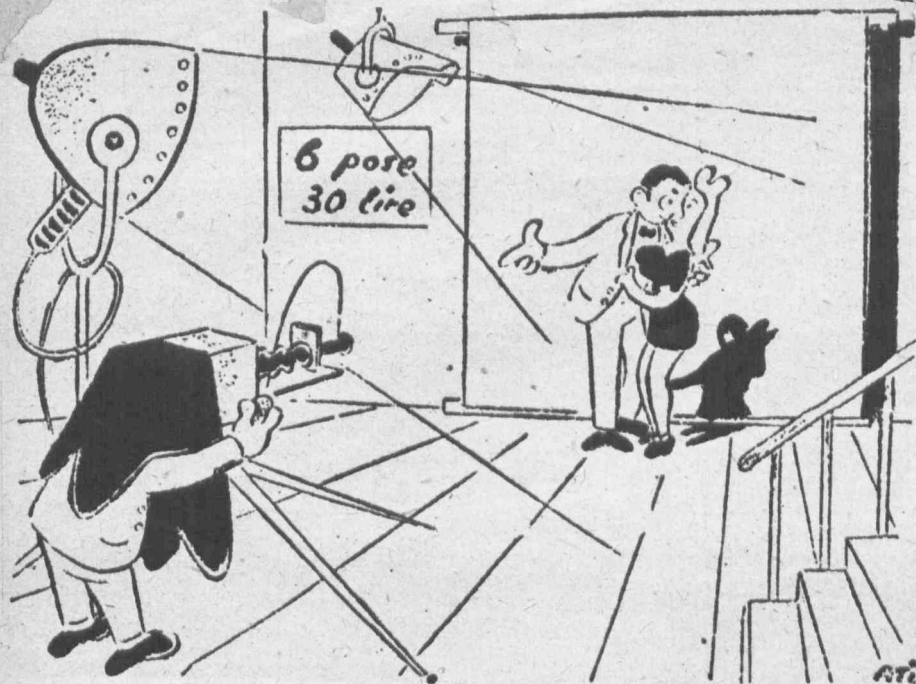
„Marco”

WARSZAWA, PL. TRZECH KRZYŻY 13
T E L E F O N 857-40

Nie zwlekajcie!

Rospiesz się, kup jeszcze dziś los w Lottokolekturze, gdzie Cię może szczęście czeka! Ciągnięcia odbywają się dwa razy w tygodniu. Za 1 Zł. można wygrać 3.600 Zł. Im większa stawka, tym wyższa wygrana!

Informacje i przyjmowanie stawek w każdej **LOTTOKOLEKTURZE**
Lottokolektury znajdują się we wszystkich większych miejscowościach Gen. Gubernatorstwa



Powiesz:
Piedko, kochanie, po-
caluj mnie! On się teraz
nie patrzy.

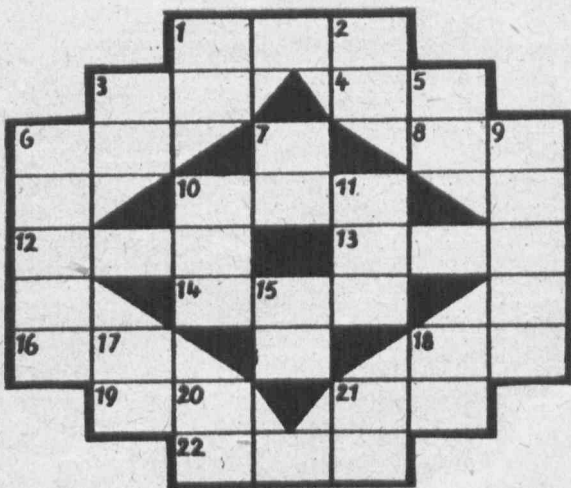
Die Woche

Na lewo:
— Gdzie cie pocało-
wał twój pierwszy przy-
jaciel?
— Śmieszne pytanie:
oczywiście, że w usta.

Die Woche

ROZRYWKI UMYŚLOWE

KRZYŻÓWKA SYLABOWA ukł. Nemo



W kratki wpisać wyrazy o następującym zna-
czeniu:

Poziomo: 1. prawy dopływ Obi w Syberii
Zachodniej, 3. litera fonetyczna, 4. miara po-
wierzchni, 6. on w języku obcym, 8. symbol che-
miczny pierwiastka aktywności, 10. gatunek węży, 12.
okres dziejowy, 13. inaczej las, 14. ekonomista
i polityk (b. prezydent miasta Krakowa), 16. zaimek,
18. stopień gamy C, 19. symbol chemiczny pier-
wiastka manganu, 22. prawy dopływ Dunaju
w Szwajcarii.

Pionowo: 1. zaimek, 2. bóstwo egipskie, sym-
bol zwycięstwa ładu nad zamiętem, 3. symbol che-
miczny pierwiastka kryptonu, 5. symbol chemiczny
pierwiastka radu, 6. wrażenie, skutek, 7. pytanie,
9. w mitol. greckiej czarodziejka na wyspie Ajaja,
10. zabawa taneczna, 11. miasto w Finlandii nad
zatoką Botnicką (uniwersytet fiński), 15. litera fone-
tycznie, 17. jednostka oporu elektrycznego, 18. skrót
Republique Française, 20. symbol chemiczny pier-
wiastka niklu, 21. zaimek.

SKRZYŃKA Z KULAMI

— Najbardziej podobała mi się historia z dwoma
złodziejami — opowiadał młodzieńcy kinoman z en-
tuzjazmem, swym kolegom. — Bandyci napadli na
młodego farmera Edwarda i uprowadzili z sobą.
Postawili przed nim skrzynię pełną trocin, wysypali
do niej worek kul ołowianych i wymieszali wszyst-
ko starannie. — „Jeśli w przeciągu 5-ciu minut
wybierzesz wszystkie kule i wysypiesz je do worka,
tak by żadnej nie brakowało, wtedy puścimy cię
wolno. Gdy tego nie zrobisz, utopimy cię w tej
rzece, która płynie obok” — powiedział doń jeden
z bandytów. I wyobraźcie sobie po dwóch minutach
rozwiązał Edward zadanie i odzyskał wolność. Jak
tego dokazał?

ANECDOTY

WIELE MÓWIĄCA PROPOZYCJA

W czasie pokazu sprawności wojska w dniu święta pułko-
wego stoi wśród tłumu publiczności piękna, młoda dziewczyna.
Nagle rozlega się salwa karabinowa jakiegoś oddziału
piechoty. Przerażona cofa się dziewczyna w tył, prosto w ra-
miona jakiegoś młodzieńca.
— Przepraszam pana, tak się przestraszyłam — tłumaczy
się z rumieńcem zawstyżenia na twarzy.
— Ależ nic nie szkodzi — odpowiada grzeczny młodzie-
niec. — Możemy jednak stąd poszli na drugie podwórze.
Tam ćwiczy ciężka artyleria przeciwlotnicza.

NA DRUGIM KOŃCU

Mala Isia przybiega z ogródka do swojego ojca z rzod-
kiewką własnego chowu w ręku.
— Popatrz się, tatusiu, ja to sama wyciągnęłam!
— Niemożliwe! A czy bardzo ciężko było?
— Naturalnie! Przecież na drugim końcu wisiła cała
ziemia!

POMOCNIK

Czteroletni Jaś opowiada swojej cici, że pomaga swoje-
mu ojcu przy rąbaniu drzewa. Ciotka zdumiona pyta:
— Co, ty malcze już pracujesz tak ciężko? Czy w ogóle
możesz utrzymać w ręku siekierę?
— Nie, tego to nie potrafię. Ja tylko pluje tatusiowi w rękę,
gdy ma za śliskie.

DOWCIPNA GOSPODYNI

Słynny astronom Eneke bawił jednego dnia w towarzystwie
uczonych w pewnej restauracji. Po smacznym obiedzie po-
prosił do siebie gospodynię lokalu.
— Szanowna pani — zwrócił się do niej — jestem przeko-
nany, że pani się nie zna na astronomii. Proszę więc uważać.
Dam pani małą lekcję astronomii. Istnieje t. zw. rok plato-
niczny, w którym powtarza się wszystko dokładnie co 26 ty-
sięcy lat. A więc po 26 tysiącach lat będziemy znowu wszy-
scy jak tu jesteśmy i będziemy jeść smaczny obiad u pani,
a pani jak dzisiaj będzie nas podejmowała. Czy może pani
do tego dnia zaczekać na uregulowanie rachunku?
— Ależ chętnie — odpowiedziała gospodyni. — Już panom
skredytowałam jeden rachunek. Dzisiaj właśnie upłynęło
26 tysięcy lat, jak panowie ostatnio u mnie gościli. Za ten
ostatni dzień winni mi panowie zapłatę. Proszę więc wyrów-
nać poprzedni rachunek, a dzisiejszy skredytuję wam chętnie
na dalszych 26 tysięcy lat.
— Uczony roześmiał się. Zapłacił rachunek ze słowami:
— Jestem pani prawdziwie zobowiązany, że pani nie po-
liczyła mi procentu za zwłokę.

WYSTARCZAJĄCA DOZA

Profesor Virchow, sławny patolog, znany był z tego, że
przy egzaminach peszył kandydatów złośliwymi przycin-
kami. Przy egzaminie z „interny” dał kandydatowi następu-
jące pytanie: — „Wziewano pana do pacjenta. Stwierdził pan
u niego kolkę nerkową. Co pan teraz czyni?” — „Dam mu
najpierw morfiny na uśmierzanie bólu.” — „Dobrze — zgo-
dził się Virchow. — Da mu pan morfiny. A jaką dawkę, pa-
nie kolego?” — Kandydat zawahał się z odpowiedzią. — „Pół
grama, panie profesorze!” — Surowy egzaminator błysnął
szklami binokli: — „Pięć gramów... no tak. A co pan robi
ze zwłokami, panie kandydacie?”

Słynny chirurg z Lipska Thiersch był przedmiotem ogólnego
podziwu. Zwłaszcza panie nie mogły się nachwalić jego
zręczności. Jedną z pań zapytała go raz pewnego: — Panie
doktorze, ciekawam bardzo, czy pan kiedyś zrobił fałszywe
cięcie?
— Owszem, łaskawa pani, często zdarzało mi się fałszywe
cięcie... gdy się goliłem.



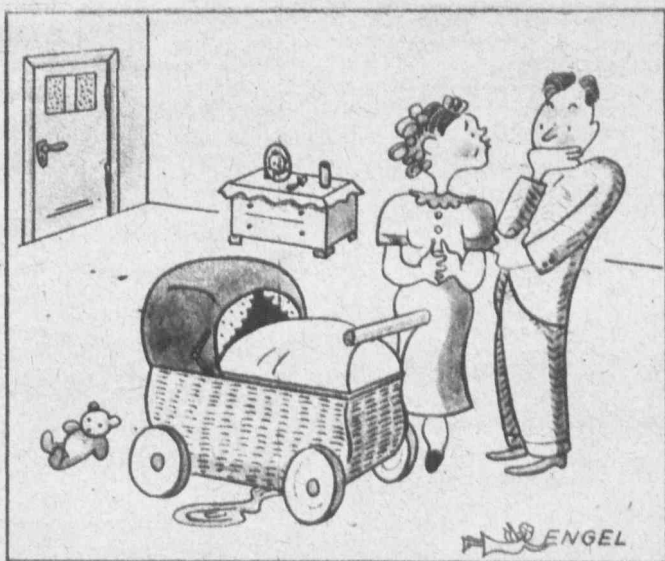
Na prawo:
— Proszę sobie
wyobrazić, że są
ludzie, którzy śpią
w nocy tylko trzy
godziny!

— Hm, mam
takiego w domu,
ma teraz właśnie
cztery minuty!

Die Grüne Post

Na lewo:
— Jak dawno
już jesteś mężatką,
mamusiu?
— Osiem lat,
moje dziecko!
— A musisz
jeszcze długo?

Die Grüne Post



— Musimy znowu wymienić wózek na inny, ten cieknie!

Die neue Gartenlaube



— Wyobraź sobie Julio, cała flaszką z wodką wylała mi się,
zapełnione korki był nieszczęśliwy.

Wiener Illustrierte

— Panie doktorze, czy moje życie było naprawdę w nie-
bezpieczeństwie?
— Tak, proszę pani, przecież ja byłem dwa razy dziennie
przy pani.

Ona: — Wie pan, czym pan jest dla mnie? Powietrzem, po-
 prostu powietrzem.

On: — To znaczy, panno Lolu, że pani beże mnie żyć
nie może.

Proboszcz pewnej wioski był zamilowanym ogrodnikiem.
Raz zaprosił wszystkie dzieci swej wioski na poziomki ze
śmietaną. Pod koniec przyjęcia powiedział do dzieci:

— No, czyż nie jest to lepiej, że jecie jako moi goście
u mnie poziomki, niż gdy wykradacie mi je pokryjomu
z ogródka?

Na to wszystkie dzieci zawołały chórem:

— Tak.

— A może mi teraz powiecie dlaczego? — zapytał pro-
boszcz.

— Ponieważ są pocukrowane i ze śmietaną.

— Mam nadzieję, że nie spóźnię się na pociąg — mówi
ciocia, ubierając się pospiesznie.

— O, na pewno nie, ciociu — odpowiada na to mały Le-
sio. — Tatusz przesunął zegar o godzinę, skoro tylko zobac-
zył, żeś przyjechała z wizytą do nas, ciociusko!





dział ktoś kiedyś: „To mężczyzna, dla którego kobieta może stracić głowę i uciec z nim na pięć minut przed ślubem od niedoszłego męża”. Tu było inaczej: nie Basia (Barbara Kostrzewska) straciła głowę w przeddzień ślubu ze Stachem (Pichelski Jerzy), ale Bryndus w znowie ze swoimi rodakami (Chór Bogdana, w którym odkryliśmy dobrych aktorów) dokonał raptus puellae na czupurnej krakowiance i uprowadził ją. Zdolność Pichelskiego do odgrywania ról tak bardzo różniących się charakterem jest zastanawiająca. Kostrzewska — miły słowiczek wiejski — porywała temperamentem i werwą. Zośka — Golaszewska Mira — uosobienie wstydlivej Bronki z obrazka Stachewicza, wniosła dużo

Na lewo: Wspaniała scena zespołowa z 1 odsłony. Od lewa: Helena Terenkoczy (Dorota), Barbara Kostrzewska (Basia), Jerzy Pichelski (Stach), Mira Golaszewska (Zośka), Józef Kempa (Jonlek) i inni.

Na prawo: Spisek. Chór Bogdana, który nie tylko pięknie śpiewał ale i dobrze grał; w środku Andrzej Szalawski (Bryndus).



W dniach od 13—18 bm. sala K.T.P. w Krakowie cieszyła się niebywałą frekwencją. Magnesem przyciągającym tak liczne rzesze byli rozśpiewani i roztańczeni „Kra-kowiacy i Górale” w „Śnie nocy lipcowej”. Sztuka ta na premierze obchodziła swoje 150 narodziny i jeszcze wciąż jest młoda i zachwycająca — nawiasem mówiąc nie szczędzono dla niej środków odmiadżających — technie zdrowiem kochania, wszystko w niej świeże, czyste, naturalne, a przede wszystkim swojskie, porusza wiele problemów społecznych, wprowadzając po części już niedzisiejszych, ale w przenośni nigdy nie tracących na aktualności, tętni życiem wsi podkrakowskiej i ognistością mieszkan-ców Podhala, wydobywa typy najbardziej charakterystyczne, ośmieszając ich słabości, wykorzystując wszystkie momenty, ażeby nadać całości wygląd prawdziwie swojski, polski, a więc: gwara, przysłówki, melodie, tańce, zwyczaje, zabobony, stroje i krajobraz. Niebywały entuzjazm widzów towarzyszył każdemu niemal słowu i gestowi artystów, których dobór był znakomity. Wystawiała Warszawa, ale nie to jest ważne, tylko to, że występowała elita elity światła artystycznego w doskonałej oprawie nadanej przez reżysera St. Daniłowi-cza i artystów-dekoratorów G. i J. Galew-skich.

O Andrzeju Szalawskim (Bryndus) powie-



Powyżej: Oryginalna scena baletowa z 3 odsłony w lesie. W kole: Fragment z ostatniej odsłony. Pan organista Miechodmucha (Tadeusz Chmielewski) ma głos! Po prawej Bardos (Wieńczysław Gliński), student z Krakowa, a obecny spadkobierca olbrzymiego majątku ziemskiego.



Fot. Borek



Ekonom nad ekonomami! — Józef Orwid.

Zdjęcia dają nam możliwość podziwiać kilka figur z ognistego mazura. Znakomity balet E. Paplińskiego z F. Kle-szczówną, M. Kolpikówną, K. Marynowską, T. Wolińskim i J. Kudlą porwał widownię pełnym ekspresyjnym tańcem.



Sen nocy lipcowej